

Włodzimierz Jona

Co z telefonami dla Świdnika

str. 2

Telewizja po lubelsku

str. 5,9



str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 23 (895)

15 listopada 1987

Cena 20 zł

NAJWIĘKSZYM BOGACTWEM JEST POLAK

Rozmowa z Bernardem Margueritte wieloletnim korespondentem prasy francuskiej w Warszawie



Bernard Margueritte mówi o polskich sprawach z ogromnym zaangażowaniem. Powiązany z naszym krajem rozlicznymi więzami, najwyraźniej traktuje Polskę jak swoją drugą ojczyznę. Nie zgadza się z niektórymi jego ocenami (choćby z interpretacją września 1939 roku, czy wizją stanu polskiej gospodarki), odczuwając chęć do polemiki, te kilka godzin spędzone w jego towarzystwie odebrałem przede wszystkim jako ciepłe chwile

kontakty z kolejnym cudzoziemcem, który jak się zdaje, polknął „bakyla” polskości. Z faktu tego wynika zapewne sympatia do naszego narodu, a także autentyczne, jak sądzę, pragnienie zrozumienia jego powikłanych losów. Wszystko to składa się na pewien zapis czasu i kontrowersyjny głos w wielkiej dyskusji o Polsce dnia dzisiejszego.

fragment najnowszej historii naszego kraju; od euforii pozornego sukcesu, poprzez wybuch „Sierpnia”, stan wojenny i czas socjalistycznej odnowy. Jak w pana opinii zmienił się ten kraj od pierwszego dnia pańskiego z nim kontaktu? Co w szczególnym stopniu wyznacza jego teraźniejszość i co oferuje nadzieje na przyszłość? Jaka jest po prostu Polska końca lat osiemdziesiątych?

— Okres pana pobytu i pracy w Polsce obejmuje, jak wiemy, obszerny

Dokończenie na str. 4—5

Aleksander Rozenfeld

Nie tylko pamięć

o wiosnie w kolonii jak pisac gdy nad ranem obco jak cholera i z deszczem mokre myśli przychodzą do głowy natrętna piosenka woiska się w uszy gdzie jesteście wy wszyscy tak przyjaźni że się płakać chce od tej waszej troski nie zmalały odległości i wy też jesteście tacy jacy byliście wcześniej to tylko ja widzę was oczami pełnymi goryczy to tylko wy jesteście daltoniści natomiast nie widzęcie jak się skurwiło wszystko wokół was mówicie — za dużo w ciebie tej ojczyzny ja wiem, wy byście się chętnie jej pozbyli to ona uoiwiera was niczym wrzód na dupie mędrkowie ale powiedzcie coście sobie złego zrobili że pokutować wciąż musicie wiekają od ciebie polsko jak od zadumanej i tylko z dala od ciebie płakać za tobą potrafią przy serdecznej wodce ronią łzy i odmieniają

siebie we wszystkich możliwych przypadkach gramatykę nową układają alkoholowej tęsknoty a na trzeźwo oni nigdy oni anty oni myślą pojęcia tak jak myślą kolory biedni pijani daltoniści z daleka od biało-czerwonej dolepiają nie istniejącą koronę na swoim orle i nie wiedzą że któreś nocy ptak obudzony z letargu zadziobie ich we śnie gdy śnić będą o kijowie i lwowie

nad pacyfikiem poeta pisze wiersze o wiośnie nad renem poeta pisze wiersze o wiośnie nad jordanem poeta do poety strzela nie słowami — kule świszczą i czasami któraś trafi a nad wisłą swojsko poeta cierpi za miliony pamiętam was w sześćdziesiątym ósmym w bramie otwieralem rozporek i nie dostalem opowiadałem kawały dla obrony przed wami po pyska o pejsach partyjnych i uchodziłem za antysemitę a was tak ścierzyli dlonie i były bezrobotne potem po latach po drugiej stronie rzeki spotkałem wasze ofiary ich nienawiść trwa i długo jeszcze będą uczyć się miłości

są tylko dwa miejsca na ziemi gdzie nie można spokojnie odmówić modlitwy za umarłych

nad wisłą i nad jordanem nad wisłą kamienie nagrobne zamieniono na chodniki nad jordanem nie ma ani jednego cmentarza z tamtych czasów po obu stronach ziemskiej kuli jest tylko plac i huczy wicher po pomordowanych są tylko dwa miejsca na ziemi gdzie wojna trwa nad wisłą i nad jordanem nie umarla pamięć i wina za śmierci niepotrzebne kamieniem legła nad każdym rodzącym się pokoleniem

a przecież kocham was — dlaczego mówię o nienawiści to przecież wasz własna historia wciąż odbija się czkawką eście pomniki — na żywych już nie starczą się na grobie męczennika połozycie kwiatek i odejdziecie w poczuciu spełnienia w kościele podnieście do góry pięść na zakasanie rękawów do roboty już nie ma sił — od soboty do soboty aby zbyć i tylko plac i tylko łzy i piosenka z wczorajszym refrenem — żeby była żeby była nie umiecie zmienić na JEST

z notatnika

2 XI. Znów, jak co roku, kolejne Święto Zmarłych. Ież to, od poprzedniego święta, przybyło nowych grobów i na lubelskich cmentarzach! W książce telefonicznej znajdują jeszcze znajome imiona i nazwiska (może znajdziemy je również i w następnej książce, za kilka lat wydanej, bo nie wszystkie rodziny odpowiednio formalności załatwiają...), ale wiem, że pod wskazanym numerem nie usłyszę już znajomego głosu. Znikąd on do mnie nie dotrze, chyba, że zachował się na taśmie magnetofonowej, jak na przykład głos mego Ojca...

Chodzę po cmentarzu przy ul. Lipowej. Gdzieś na tej alejce przed dwoma, trzema laty spotkałem Pawła Dąbka z bratkiem w butonierce. Dziś mogę tylko kwiatek złożyć na jego grobie...

Patrzę na daty śmierci uwiecznione na tablicach. Więc to już minęło prawie siedem lat od odejścia Leszka Siemiona? Szesnaście od odejścia Jurka Toronczyka? Dziewięć od odejścia Jurka Dostatniego? Wiemy, że czas płynie nieubłaganie, ale dopiero tu spostrzegamy, że płynie bardzo, bardzo szybko...

Na śmierciach żerują żywi. Za chryzantem, ładną, bo ładną, żądano... trzystu złotych, za sześć mizernych chryzantem wplecionych w dwie gałązki świerku 1500 złotych! Działają prawo podaży i prawo popytu. Po te chryzantemy (300 zł za sztukę!) ukształtowała się nawet kolejka!

Zastaw się, a postaw się! Niech znajomi widzą, jak rodziny czczą pamięć zmarłych. Często jednak tylko raz w roku, kiedy na cmentarzach spotyka się cała Polska...

6 XI. Przed referendum odbywają się liczne zebrania. Jako lektor KW PZPR w Lublinie uczestniczyłem w dwóch — w Fabryce Łożysk Tocznych w Kraśniku i w KM PZPR w Świdniku, gdzie spotkałem się z miejscowym aktywem. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że oba te spotkania odbywały się w godzinach pracy, co na pewno klóciło się i z pierwszym i z drugim etapem reformy gospodarczej. Rozumiem, że chodzi tu o zapewnienie jak największej frekwencji, ale wiem również, że odrywa się ludzi od bezpośredniej produkcji. Ja i tak pracuję głównie wieczorami lub w nocy, więc nie myślę tu o sobie, ale nie sądzę, aby tego rodzaju praktyki należało pochwalać, czemu zresztą w Kraśniku dałem publicznie wyraz i zauważyłem uśmiechy na ustach. Uśmiechy, uśmiechami, ale czy nawet je bym oglądał, gdybyśmy się zebrał na przykład o szesnastej a nie o dwunastej?

Po spotkaniu w Świdniku uciałem sobie dłuższą pogawędkę z I sekretarzem KM, towarzyszem Zdzisławem Danilukiem. Znany się nie od dzisiaj, więc i rozmowa daleka była od oficjalności. Tow. Daniluk uważa, że w ostatnich latach w Świdniku zrobiono naprawdę wiele. Miasto ma nowe ujęcie wody, doprowadzonej z Wierchowisk, jest też tyle, że problem został rozwiązany nie tylko na dziś, ale i na najbliższe trzydzieści lat. Nowa piekarnia ma zdolność produkcyjną 18 ton pieczywa na dobę, większą niż potrzeba w tej chwili. Powstał nowy szpital, otwarto przystanek kolejowy Świdnik Wschód, przekazano do użytku 42-izbowa szkoła nr 5 i do planu pięcioletniego wprowadzono budowę szkoły nr 6. W trzech nowych, dużych pawilonach handlowych może już zapratywać się lud-

ność nie tylko miejscowa. Przez trzy kolejne lata przekracza się plan budownictwa mieszkaniowego, co jest swego rodzaju ewenementem w skali krajowej (warto by podpatrzyć, dlaczego w Świdniku mogą, a w innych miastach — nie). Na ukończeniu jest rozbudowa elektrociepłowni, buduje się kanał sanitarny, internat szkolny, a także Dom Kultury. I sekretarz twierdzi, że dzięki temu wszystkiemu można z całym przekonaniem powiedzieć, że pomyślnie przebiega realizacja wniosków z kampanii przedwyborczej do Sejmu i rad narodowych.

Ten pozytywny bilans mać (i to jeszcze jak!) problem telefonów, zakrawający wprost na skandal. Przy pomocy WSK i czynów społecznych wybudowano centralę telefoniczną, do której zakupiono odpowiednie urządzenia, wkopano w ziemię kable, ludzie wpłacili po prawie 40 tysięcy złotych (tych ludzi jest około pół tysiąca, a dodajmy do tego ich rodziny!). A Wojewódzki Urząd Telekomunikacyjny w Lublinie zachowuje stoicki spokój. Czas płynie, pieniądze, które wpłacono, w gruncie rzeczy dewaluują się, wszystkich krew zalewa, miejscowe władze poruszyły już dziesiątki sprężyn i do dzisiaj nie wiedzą nawet, jaka jest przyczyna tych skandalicznych opóźnień.

— Mam tu takiego myśliwego — mówi żartobliwie, ale i nie bez złości tow. Daniluk — który nie wykonał planu odstrzału. Może mu zaproponować, aby popołował trochę w budynku WUT-u? Czy dyrektor WUT-u nie zdaje sobie sprawy, jak ta telefoniczna kołomyjka negatywnie wpływa na nastroje społeczne w mieście? Daliśmy wszystko, a może i więcej, czego od nas żądano, daliśmy i pracę i forsz. Naprawdę nie jestem w stanie znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla dyrekcji WUT.

Przypomniał mi się w tym momencie list, jaki od WUT-u otrzymał niedawno siedemdziesięcioletni kombatan, inwalida wojenny p. Bronisław Cieślak z Lublina. „Kurier Lubelski” ów list cytował, więc nie ma potrzeby, by go w tym miejscu powtarzać. Sens listu był taki, że WUT zaproponował p. Cieślakowi, by ten dokonał wielu różnych inwestycji we własnym zakresie, a dopiero wtedy zaistnieje „możliwość instalacji stacji telefonicznej”. Okazuje się, że i wówczas wszystko jest na wodzie pisane, o czym świadczy wymownie przykład Świdnika!

Nie pozostaje mi nic innego, jak zapytać publicznie wielce Szanowną Dyrekcję WUT, kiedy konkretnie wywiąże się ze swoich zobowiązań? To już nie jest tylko sprawa techniczna, podkreślam, ale polityczna! Czy w Lublinie niektórzy już zapomnieli o lekcji świdnickiej w lipcu 1980 roku?

7 XI. „Kamena” osobno pisze o 70 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (w poprzednim numerze interesujący tekst I. J. Kamińskiego pt. „Sztuka i rewolucja”), ale mimo to i na temat muszę tu kilka słów napisać. Dziś rano nastawiłem budzik, aby obejrzeć defiladę na Placu Czerwonym, zauważyłem, że na trybunie w najbardziej centralnych miejscach znaleźli się: Wojciech Jaruzelski, który stał obok premiera Ryżkowa i Fidel Castro, obok przewodniczącego Gromyki. Nie był to zapewne gest jedynie grzecznościowy. (Nasz Generał poprzedniego dnia wyjechał na dzień z Moskwy do Katowic, gdzie re-

Rewolucja trwa

JEST to dokument obszerny, zawierający wielkie bogactwo myśli. Mowa w nim jest o historii, o dniu dzisiejszym, o przyszłości. Mowa o Związku Radzieckim, o wspólnocie socjalistycznej, o świecie, w którym żyć nam przyszło.

Piszę o przemówieniu sekretarza generalnego KC KPZR, Michaiła Gorbaczowa, wygłoszonym na uroczystym posiedzeniu KC KPZR, Rady Najwyższej ZSRR i Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej. Już sam tytuł tego wystąpienia — „Październik a przebudowa: rewolucja trwa” — wskazuje, iż historia przeplata się w nim z dniem dzisiejszym. Historia pomaga lepiej dzień dzisiejszy zrozumieć, a jednocześnie tak ukierunkować nasze myślenie na przyszłość, aby popełnione błędy nigdy nie mogły się powtórzyć. Używam określenia o nasze myślenie, bo prawdy zawarte w referacie nie odnoszą się jedynie do samego Związku Radzieckiego. Rewolucja trwa nie tylko tam; to, czego dokonują dzisiaj obywatele ZSRR, zbliżone jest z poczynaniami naszego kraju, jak i innych krajów socjalistycznych. Nigdy jeszcze — podkreślił Wojciech Jaruzelski, pozdrawiając uczestników wielkiego moskiewskiego zgromadzenia — nie byliśmy sobie tak bliscy. Współbieżność celów i poszukiwań procesu reform zachodzących w Polsce oraz w Związku Radzieckim sprawia, iż stosunki między naszymi partiami, państwami i narodami osiągnęły nową, szczególnie wysoką jakość.

Michaił Gorbaczow mocno zaakcentował powrót do źródeł, do Lenina, który strategię partii umiał dostosowywać do aktualnych potrzeb społecznych. W tym świetle zwrócił uwagę na NEP (Nową Politykę Ekonomiczną), aczkolwiek zastrzegł się, że nie stawia znaku równości między nią a tym, co się dzisiaj w ZSRR robi: NEP stawiał również bardziej perspektywiczne cele. Postawiono zadanie budowania nowego społeczeństwa — jak pisał Lenin — nie bezpośrednio na entuzjzmie, lecz przy pomocy entuzjzmu zrodzonego z Wielkiej Rewolucji, budowania na osobistym interesie, na osobistym zainteresowaniu, na rozrachunku gospodarczym. Tak wskazało nam życie, tak wskazało obiektywny tok rozwoju rewolucji.

Śmierć Lenina stanowiła stratę niepowetowaną. Rozbieżności, istniejące jeszcze za jego życia, dały o sobie znać w ostrej formie i wśród niektórych, ciężkich się autorytetem działaczy wzięła górę drobnomieszczańska natura. Lew Trocki rościł sobie wielkie pretensje do przywództwa w partii, a przecież odrzucał on możliwość budowy

komendował on, jak sądzę, Manfreda Gorywodę na stanowisko I sekretarza KW PZPR w Katowicach, mógł więc odczuwać zmęczenie, ale specjalnie tego nie było widać.

Podobała mi się historyczna część defilady (kiedy to ostatni raz na Placu Czerwonym mknęły konie?) i barwny pochód mieszkańców stolicy ZSRR. Można z różną twarzą iść w pochodzie: tutaj dominował uśmiech. Temperatura powietrza musiała być stosunkowo niską, skoro zobaczyłem jakiegoś Murzyna z nausznikami. Niby Murzyn, więc nie dziwota, ale to dopiero pierwsza dekada listopada!

Kamer telewizyjnych zainstalowano więcej niż zwykle, więc i Moskwę oglądało się z różnych stron. Dwa lata temu byłem w tym mieście, ale program miałem tak przeladowany różnymi oficjalnymi rozmowami, że miasto widziałem głównie z okien samochodów. Warto się tam kiedyś wybrać w charakterze turysty, bo jest co zwiedzać.

Interesujący program nadała w godzinach popołudniowych telewizja warszawska, padło wiele ważkich głosów historyków radzieckich, również na temat białych plam w naszych wzajemnych kontaktach. Niestety, program też nałożył się w połowie na „Panoramę Lubelską”, toteż nie oglądałem go w całości. Z tym wzajemnym nakładaniem się programów bywa czasami strasznie: W bardzo niefortunnym czasie II program TV emitował rozmowę z Mieczysławem F. Rakowskim. Szkoda, że nie znalazłono nań miejsca wedyńce, choćby we wcześniejszych lub późniejszych godzinach. Może między pierwszym i drugim programem istnieje koleżeńską konkurencja, ale trzeba ją tak pojmować, aby widz na niej nie tracił!

8 XI. „Polityka” drukuje list, jaki wpłynął do (dawnego) Ministerstwa Oświaty i Wychowania: „Domagam się zaprzestania demoralizacji uczniów i wycofania podręcznika »Przysposobie-

nie do życia w rodzinie« z programu nauczania. Przystosowanie do życia w rodzinie nie może odbywać się drogą antagonizowania szkoły z domem rodzinnym — większość dzieci to dzieci rodziców katolickich, zaś rozerotyzowany młody Polak nie może być nadzieją Ojczyzny”.

Niestety, nie ma Boja; gdyby żył zapewne rzuciłby swój ważki głos na szalę, a swoją drogą co najmniej dziwi, że sprawa jednego podręcznika, a właściwie pewnej jego części, wywołała tak napastliwe ataki, zwłaszcza w pewnych pismach katolickich. Są ludzie, którzy by chcieli, aby nasze dzieci ciągle wierzyły w bociany, albo zdobywały swą wiedzę na tematy damsko-męskie wówczas, gdy już kwili niemowlę, albo jest ono w drodze. Pan Janusz Korwin-Mikke (wprawdzie w felietonie, który rzucił się swoimi prawami, wydrukowanym na lamach „Ladu”) pisze pod adresem autora podręcznika: „...Ale dlaczego Pan, zamiast ogłosić jakieś dobrowolne (i płatne!) kursy chce wszystkie dzieci poddać Pańskiej edukacji? Niech Pan pomyśli! Ostrzegam jednak: jeśli odpowie Pan: Bo wiem lepiej niż Pan, co jest korzystne dla Pana i Pańskich dzieci — to dam kopa. A w co, to Pan już wie lepiej ode mnie!”

Panie Januszu Korwinie-Mikke! „Niech ów felieton wsadzi sobie Pan tam, gdzie Pan już wie lepiej ode mnie” — napisałbym w imieniu Autora, a od siebie radziłbym, aby Pan spojrzął na kalendarz. Kilkanaście lat dzieli nas od dwudziestego pierwszego wieku, a Pan chyba jeszcze nie wyszedł z epoki Sredniowiecza!

Ręce opadają i nawet na polemikę szkoda czasu... Dyskusja trwa, rozprawdanie podręcznika do szkół wstrzymano. Kto napisze lepszy? Pan Janusz Korwin-Mikke?

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

■ 5 listopada przy ul. Klepury 5 w Lublinie otwarto dom kultury „Czechów” oraz bibliotekę publiczną. Pierwszy obiekt posiada m. in. kawiarnię i sale widowiskowe o 160 miejscach, dostosowana do projekcji filmów, natomiast drugi — 750 m kw. powierzchni użytkowej i 14 tys. książek.

■ Przebywał w Lublinie pan Grzegorz Skrypnik, absolwent uniwersytetów: Warszawskiego (1936) i Kijowskiego inicjator i nauczyciel kursów języka polskiego w Kijowie na które rokrocznie uczeszcza ponad 100 osób. Zasadniczym celem tego wyjazdu w kraju rodzinnym którego nie widział od czasów wojny, było uzyskanie stosownych podręczników i innych pomocy dydaktycznych. Wszystko wskazuje na to, że kontakt gościa z dyrekcją lubelskiego Centrum Polonijnego także przyniesie pozytywne rezultaty.

■ Program listopadowych Dni Filmu Radzieckiego w naszym makroregionie obejmują m. in. takie główne obrazy, jak m. in.: „Pożegnanie” Elena Klimowa „Temat” Gleba Panfilowa i „Gonic” Karena Szahnazarowa. Polecamy je ludziom myślicy.

■ Od 1 listopada w lubelskim Teatrze Studyjnym trwa I Ogólnopolski Przegląd

sezonach i zachęcamy do podtrzymania towarzyskiej tradycji, nawiązującej do czasów Tadeusza Pruszkowskiego

■ Jeszcze o Kazimierzu Dolnym: otwarta 18 października w Galerii Letniej czynna tam jest nadal wielce interesująca wystawa „Rzeźba tworzywo drewno” przygotowana wspólnie z Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku w ramach serii takich „technologicznych” pouczających ekspozycji które obowiązkowo powinni oglądać studenci wychowania plastycznego UMCS i historii sztuki KUL. Powinni!

■ 25 października w Zamościu otwarto Muzeum Sztuki Sakralnej Kolegiaty Zamojskiej, gromadzące niezwykle cenne dzieła sztuki i dokumenty historii Szczególnym zbliżeniem okoliczności w sąsiedztwie muzeum znajduje się Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych — na co wskazujemy w związku z kolejnym wstąpieniem do obiektu sakralnego w Lublinie (kanlica przy ul. Wallenroda).

■ Pro domo sua: w Konkursie Poetyckim im. Bolesława Lesmiana w Zamościu II nagrodę otrzymał Zygmont Mikulski, nie tak dawno pracownik „Kamenu” (pierwsza wreczono Wojciechowi Darskiemu z Głęboka) natomiast Ireneuszowi J. Kamińskiemu przyznano wojewódzką nagrodę społeczno-kulturalną 1987.

■ W Teatrze Osterwy trwają próby „Gardobianego” Ronaldą Harwooda z Henrykiem Sobiechartem i Włodzimierzem Wiszniewskim w rolach głównych. Tymczasem 31 października w orogramie i TVP wyświetlono głośno ekranizację tej sztuki, która pierwszoplanowym postaciom filmu, Albertowi Finnewowi i Tomowi Courtenayowi, przyniosła nominacje do Oscara.

■ 25 października Stanisław Jan Łazarek urządził był zakończenie sezonu 87” w swej kamieńskiej galerii „Zamek”, prezerującej dobrze wrecz znakomite a prezentującej sztuki tyle popularna co utrzymana na wysokim poziomie warsztatowym. Życzymy powodzenia w kolejnych

socializmu w warunkach kapitalistycznego okrajenia. Michaił Gorbaczow szczegółowo scharakteryzował istotę trockizmu, wskazał na błędy Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, przedstawiając na tle tych postaci złożony proces rozwoju partii.

Stalinowi, który stanął na jej czele, sekretarz generalny KC KPZR poświęcił wiele słów, z których najważniejsze wydały mi się te: Pozostając na pozycji prawdy historycznej, powinniśmy widzieć zarówno niezaprzeczalny wkład Stalina w walkę o socjalizm, obronę jego zdobyczy, jak i poważne błędy polityczne, samowolę, do jakiej dopuścił on i jego otoczenie, za którą nasz naród zapłacił wielką cenę i które miały poważną konsekwencję dla życia naszego społeczeństwa. Czasami twierdzi się, że Stalin nie wiedział o wielu przypadkach bezprawia. Dokumenty, którymi dysponujemy, świadczą, że tak nie jest. Wina Stalina i jego najbliższego otoczenia wobec partii i narodu za dopuszczenie do masowych represji i bezprawia jest ogromna i niewybaczalna. Jest to nauka dla wszystkich pokoleń.

Michaił Gorbaczow wskazał, że po XX Zjeździe KPZR wiele oskarżeń zostało wycofanych, tysiące niewinnych całkowicie zrehabilitowano, ale proces przywracania sprawiedliwości nie został doprowadzony do końca i faktycznie wstrzymano go w połowie lat sześćdziesiątych. Teraz, zgodnie z uchwałą październikowego (1987 rok) plenum KC, trzeba znów wracać do tego. Biuro Polityczne KC utworzyło komisję dla wszechstronnego zbadania nowych i znanych wcześniej faktów oraz dokumentów dotyczących tej sprawy. Po zakończeniu przez komisję pracy zostaną podjęte odpowiednie decyzje.

Ciekawe są fragmenty przemówienia, które dotyczą genyzy drugiej wojny światowej. Wojna ta w istocie stała się tragiczną rzeczywistością bynajmniej nie 1 września 1939 roku. Zajęcie przez Japończyków północno-wschodnich Chin („incydent mandżurski” 1931—1932), agresja Włoch na Etiopię (1935 r.) i Albanii (wiosna 1939 r.), interwencja niemiecko-włoska w republikańskiej Hiszpanii (1936—1939), zbrojne wtargnięcie Japonii do północnych, a następnie środkowych Chin (lato 1937 r.) — oto pierwsze ogniska drugiej wojny światowej.

Michaił Gorbaczow wskazał, że ZSRR zrobił wiele, aby stworzyć system zbiorowego bezpieczeństwa i zapobiec rzezi, ale radzieckie inicjatywy nie spotkały się z oddźwiękiem u zachodnich polityków i politykerów, rozmyślających z zimną krwią, jak by umiarkowanie wciągnąć socjalizm w ogień wojny, bezpośrednio skonfrontować go z faszyzmem.

Powiadają — oświadczył sekretarz generalny KC KPZR — że decyzja, którą podjął Związek Radziecki, zawierając z Niemcami pakt o nieagresji, nie była najlepsza. Można i tak, jeśli kierować się nie surową rzeczywistością, lecz teoretycznymi abstrakcjami, wyrwanymi z kontekstu czasów. Również w

tych warunkach problem przedstawiał się mniej więcej tak samo, jak w czasie pokoju brzeskiego. Było to być albo nie być dla niepodległości naszego kraju, być albo nie być dla socjalizmu na Ziemi.

Michaił Gorbaczow w dalszej części swego wystąpienia podniósł zastrzeżenia i odwagę Nikity Chruszczowa w zdemaskowaniu kultu jednostki i jego konsekwencji w przywróceniu praworządności socjalistycznej. Niestety, za czasów Leonida Breżniewa, zwłaszcza w okresie końcowych lat jego życia, powstało wiele anormalnych zjawisk w sferze społecznej i duchowo-moralnej. Wypaczony i deformowany one zasady sprawiedliwości społecznej, podważały w społeczeństwie zaufanie do niej, rodziły społeczne wyobcowanie w różnych jego formach. Narastające różnice w szczytnych zasadach socjalizmu i codziennymi realiami życia stały się nie do zniesienia.

Wiele uwagi poświęcił Michaił Gorbaczow tym procesom, które obecnie zachodzą w ZSRR, a więc przebudowie — „pierestrojce”. W przebudowie niezbędne są i wytrwałość, i odwaga, i rozważa: Trzeba się nauczyć rozpoznawania, wyprowadzania na czystą wodę, neutralizowania manewrów przeciwników przebudowy, tych, którzy powstrzymują sprawę, wkładając kije między sprzysy, ciesząc się z trudności i niepowodzeń, tych, którzy usiłują cofnąć nas do czasów minionych. Nie powinniśmy również ulegać naciskom nadgorliwych i niecierpliwych — tych, którzy nie chcą liczyć się z obiektywną logiką przebudowy, manifestując niezadowolone ze zbyt wolnego, jak sądzą, tempa przeobrażeń, z tego, że rzekomo nie przynoszą one szybko owoców.

Brak miejsca nie pozwala już na szersze potraktowanie tej części przemówienia sekretarza generalnego KC KPZR, która dotyczy spraw międzynarodowych. Wskazując na pokojowe inicjatywy ZSRR, zadał on ważne pytanie: czy kapitalizm potrafi dostosować się do warunków beztalantowego i rozbrojonego świata, do warunków nowego sprawiedliwego ładu ekonomicznego, warunków uczciwej konfrontacji wartości duchowych obu światów? Odpowiedzi udzielił życie, a słuszność programu beztalantowego i bezpiecznego świata będzie weryfikował bieg wydarzeń.

Kreśląc wizję przyszłości, Michaił Gorbaczow proponuje: zamiast egoizmu — kolektywizm; zamiast wyzysku i ucisku — wolność i równość; zamiast tyranii — mięszłość — prawdziwe ludowladztwo; zamiast zwiolowei i okrutnej gry sił społecznych — rosnąca rola rozumu i humanizmu; zamiast swarów, waśni i wojen — zjednoczenie wszystkich ludzi i pokoi.

Innego wyjścia dla świata nie ma. Chyba, że groźba „powszechnej kasy śmierci” — dodam dla siebie — ma się urzeczywistnić.

j

3xR

Dokończenie ze str. 1

stem solidarności narodowej, przymykając oczy na polskie realia i twierdząc, że np. rudych już nie ma, a jeśli nawet tu i ówdzie jeszcze się u-chowali, to „nasz” fryzjer szybko ich przefarbuję w żelaznym kubelku do trwałej, na wieki wieków wiecznej ondulacji.

Życie praktyczne skompromitowało „modele” tego rodzaju, wydumane w gronie wąskim, choć podniecające wielu. Jak synowie marnotrawni powracamy o to na łono rzeczywistości, próbując przebudować naszą gospodarkę, od której właściwie wszystko zależy, łącząc to z dalszą demokratyzacją kraju. Podany pod publiczną rozważę projekt programu drugiego etapu reformy gospodarczej przedstawia cele, kierunki działań i przewidywane wyniki tej wielkiej reorientacji, nie ukrywając konieczności okresowego zaciśnięcia pasa przez społeczeństwo. Zdaje się przecieć, że nie ma innej drogi względnie szybkiej naprawy Rzeczypospolitej. Ostatecznie możemy spodziewać się, że będzie „więcej, lepiej, wygodniej i godniej” — jeśli oczywiście po zaakceptowaniu programu reformy przez referendum weźmiemy się do roboty i wykorzystamy historyczną szansę, jaką przynosi nowa organizacja wysiłku zbiorowego. Nie ma bowiem tak silnych i doskonałych mechanizmów gospodarczych, które wytrzymałyby próbę lenistwa, głupoty i niekompetencji.

Czy jesteśmy przygotowani psychicznie i moralnie do sprostanania zadaniom, które stawia przed nami reforma — oto pytanie tylko w pierwszym czytaniu trącające egzaltacją. Przypomnijmy fragment wiadomego programu:

„Głównym celem działań reformatorskich jest przebudowa gospodarki w sposób umożliwiający osiągnięcie znacznie wyższej niż dotąd społecznej efektywności gospodarowania, znacznie lepsze niż dotąd wykorzystanie potencjału gospodarczego kraju. Społeczeństwo polskie ma świadomość, że ten potencjał nie jest należycie wykorzystany i jest marnotrawiony, zaminując niekiedy, że dzieje się to bardzo często za przyczyną niskiej wydajności, złej jakości i marniej roboty. Stan ten sprawia, że obecne miejsce Polski w świecie dalece nie odpowiada naszym ambicjom narodowym”.

Inaczej mówiąc, wyjście z opresji zależy głównie od tego, że zaczniemy

solidniej, rzetelniej pracować. A sprzyjać temu będzie m. in. rozwijanie samorządności terytorialnej i samorządu załóg oraz przedsiębiorczości we wszystkich sektorach, z naciskiem na państwowy, do czego z kolei doprowadzi odbiurokratyzowanie warunków działania jednostek gospodarczych i taka zmiana w funkcjach i kompetencjach władzy państwowej, że miała wtrącać się w bieżące sprawy fabryk i innych podobnych struktur, skoncentruje się ona na kierowaniu procesami ekonomicznymi i społecznymi. W ogóle kontynuowana będzie redukcja przepisów i rozporządzeń oraz nowelizacja prawa, a wszystko to w celu wyzwolenia indywidualnej i zbiorowej inicjatywy, przedsiębiorczości oraz poczucia obywatelskiej pewności siebie. Program przewiduje ponadto, że jednym z podstawowych stymulatorów dobrej roboty będzie zasada „jaka praca, taka płaca”, a o cenach usług i towarów zdecydują mechanizmy rynkowe, od których zależy też musi kondycja jednostek gospodarczych.

Ostatecznie chodzi o to, by ludzie poczuli się prawdziwymi gospodarzami miejsca, gdzie przyszło im żyć i pracować, by mogli samodzielnie, w ramach generalnej strategii państwa, podejmować i materializować decyzje ważne dla lokalnego środowiska.

„Program ten, konsekwentnie realizowany, powinien w ciągu 3—4 lat doprowadzić do pełnego wyprowadzenia kraju z następstw kryzysu, do usunięcia bieżących uciążliwości życia codziennego powodowanych przez różne braki rynkowe, inflację i wadliwe działania różnych służb publicznych” — zaznaczono w projekcie reformy.

Już przecieć obecnie orientujemy się w skalę korzyści, jakie może przynieść nowa praktyka ekonomiczna, wprowadzana, nie bez poważnych trudności obiektywnych i subiektywnych, od 1982 roku. Otóż w rezultacie szerokiego zastosowania zespołowych form organizacji pracy „Hydrobudowa 1” w ciągu zaledwie trzech lat zwiększyła wydajność o 1000 procent, bydgoskiej „Romet” zwiększa ją rokrocznie o 35 procent, a plocka „Petrochemia” mogła sobie pozwolić na zrezygnowanie w okresie 12 miesięcy z 466 etatów!

Wielkie są moce utajone czy skrepowane polskiej gospodarki, a reforma to nic innego, jak klucz do ich wyzwolenia. Żeby nam się tylko chciało!

Właśnie: czy nam się będzie chciało przystąpić do tej reformatorskiej roboty, która otwierając szansę na pełne półki w sklepach, lepsze zarobki, krótszą drogę do mieszkań, zamierza obdarzyć nas jeszcze czymś zgola egzotycznym i chyba ciężkim: samoodpornością. My nawet chcemy być samorządni, samodzielni,

czasami — nawet samofinansujący się, ale żeby jeszcze odpowiadać za to wszystko, co zrobimy pod patronatem świętej trójcy owych „S”, no nie, tego chyba za wiele!

Jako dzieci państwa opiekuńczego przywykliśmy widzieć w nim się sprawcą i odpowiedzialną bodaj za wszystko; za poziom i jakość produkcji przemysłowej, ale również za zaopatrzenie sklepów w wate i papier toaletowy, którego posiadanie stało się zresztą osobliwym miernikiem życiowej zaradności obywateli. Trudno się jednak temu dziwić, skoro wiadomo, jak chętnie i często centrum przywdziało kostium omnipotencji, dyscyplinując gospodarkę w systemie nakazowo-rozdzielczym, który przedsiębiorczość załóg sprowadzał do goniłwy za planem w ramach współzawodnictwa pracy. Owszem, w czasach, kiedy system ów nie upodobił się jeszcze do gorsetu, kiedy rozkwitał przemysł terenowy, spółdzielczość była spółdzielczością, a do współzawodnictwa zachęcały ludzi motywacje materialne i ideologiczne — o tak, wtedy kraj rozwijał się dynamicznie.

Było, minęło, ale coś nam jeszcze w duszach gra i na melodię lat niedawnych, siedemdziesiątych, kiedy to poszerzając nawet opiekuńcze funkcje państwa, władze rzuciły hasło: — Bogaćcie się! Żyćcie na wzór Zachodu! Ludzie zaczęli masowo jeździć za granicę, gdzie ostrzyli sobie apetyty na witrzynach sklepowych, a po powrocie popadali we frustrację, bo okazywało się, że uczciwa praca w kraju nie przybliżyła do owych iluzorycznych, nadmuchanych celów. Cwaniactwo stało się sposobem życia, kiedy zaś pojawiły się symptomy kryzysu, nieustannie nawiązywały się do bogactw Zachodu Polacy stracili szacunek dla idei i siebie samych, zniechęcili się, stracili poczucie wspólnoty. Nasiliła się pseudoetniczna emigracja, rozmożyły wyjazdy z pobudek ekonomicznych, dla wygody maskowanych względami politycznymi.

Przyczyną i mechanizmy tego ponurego zjawiska były oczywiście bardziej skomplikowane, ale gdyby ktoś nabral ochoty na ich dokładne rozpoznanie, ten powinien zacząć od spojrzenia w lustro.

Największą bodaj przeszkodą autentycznej akceptacji projektowanej reformy gospodarczej jest więc stan ducha wcale licznych środowisk społecznych w Polsce, ukształtowany wedle jście diabelskiej receptury: porcja znużenia plus porcja rozmakowania w opiece państwowej, która wszak nie pozwoli nikomu przepaść z krętelem, tyle że nie gwarantuje życiowego komfortu. Powszechnie narzekamy na przedłużającą się depresję, ale jednocześnie wielu z nas obawia się nowej, nie doświadczonej jeszcze osobiście sytuacji społeczno-ekonomicznej, w którą wpisany jest pewien stopień ryzyka i imperatyw odpowiedzialnej roboty. Led-

wie premier zapowiedział, że podjęcie działalności gospodarczej nie będzie wymagało, jak dotąd, urzędowego zezwolenia, a jedynie rejestracji sądowej — już słychać w trawie pisk sprzeciwu. Tu handlowcy „po szkołach” nie mogą strawić, że obywatel bez formalnych uprawnień, bez odpowiedniego „papieru” zyskuje oto możliwość otwarcia tak poważnego interesu, jak np. sklep z pietruszką i wodą sodową. Ale tak to już bywa, jeśli zamiast rzeczywistej smykalki, energii i ochoty cenilo się łalami bu-magi, dyplomy i pieczętki — ordery nuworzyszy.

Sądzić jednak należy, że większość Polaków opowie się za wprowadzeniem w życie drugiego etapu reformy gospodarczej. Oferuje on bowiem to, co jest nam wyjątkowo bliskie: rozmałość i wolność wyboru indywidualnej drogi działania, prowadzącej, jeśli będziemy się starać do satysfakcji materialnej i moralnej. Ktoś wreszcie pojął, że ludzie są różni, kwadrantowi i podluzni, odmienni i spragnieni stanowienia o sobie.

Program ten opiera się na takich kategoriach, jak przedsiębiorczość, inicjatywa, innowacyjność, konkurencja, gra rynkowa, samodzielność, poczucie odpowiedzialności, które w gruncie rzeczy oznaczają jedno: ostrą rywalizację między sektorami, zakładami pracy, pojedynczymi ludźmi, która nie obejdzie się bez konfliktów.

W tekście programu podchodzi się do tej kwestii ostrożnie. „Trzeba się liczyć z tym, że w wyniku wprowadzenia do gospodarki gry sił rynkowych i decentralizacji decyzji, będą występowały pewne zakłócenia i konflikty. Nie ma innej drogi do zdrowia gospodarczego, trzeba więc do tego się przygotować przez wytworzenie form elastycznego reagowania i uruchamiania procesów dostosowawczych. Zagadnienie znaczenie ma w tym zakresie tworzenie właściwych rezerw rzeczowych i finansowych”.

Słusznie, ale nie można już chyba przykrywać egalitarnym frazesem tej prawdy, że rozwój społeczny odbywa się w walce przeciwieństw, a umiarkowany konflikt jest stanem naturalnym każdej zdrowej zbiorowości ludzkiej. Państwo socjalistyczne, silne państwo socjalistyczne dysponuje środkami, by przywołać do porządku np. tych, którzy próbują bogacić się w sposób drapieżny, powodując konflikty u podstaw ustroju, a jednocześnie zdolne jest i zobowiązane do udzielenia pomocy słabym z wyroków Iosu lub biologii.

3xR: Reforma — Rywalizacja — Rozwój, a z drugiej strony ciągłe drebłanie w kolejce do niedostatku, oto alternatywa, przed którą stanieny 29 listopada.

Włodzimierz Jona

NAJWIĘKSZYM BOGACTWEM JEST POLAK

Dokończenie ze str. 1

— Istotnie moje związki z Polską są wieloletnie i długotrwałe. Odwiedzałem wasz kraj w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a tym razem przebywałem w nim nieprzerwanie od października 1977 roku. Zdążyłem więc poznać Polskę „głęboko”. Polskę okresu „Solidarności”, Polskę stanu wojennego, Polskę po stanie wojennym, a teraz poznaję Polskę, nazwijmy to, doby reformatorskiej. Pytanie pańskie jest jednak tak ambitne, iż wymagałoby, jak sądzę, obszernej analizy naukowej. Ostatnie wstrząsy społeczne lat 80—81 stały się na pewno początkiem nowej mądrości tego narodu, doprowadziły do swoistej katharsis władzy i społeczeństwa, najprościej mówiąc określily z jednej strony, jak można rządzić tym społeczeństwem z drugiej zaś, co można osiągnąć w istniejącym układzie geopolitycznym w Europie. Stanowi to jakby bazę, na której mogą się rozgrywać wszystkie działania polityczno-gospodarcze w tym kraju. Wysiłki twórcze muszą wszakże ulec znacznej intensyfikacji. Obecna bowiem sytuacja Polski jest niezwykle trudna. Wydaje mi się, iż jest ona bardziej dramatyczna niż była trzy, cztery lata temu. Owszem, poziom życia się podniósł, zaopatrzenie jest nieco lepsze, ale wszystko to zostało osiągnięte kosztem możliwości inwestycyjnych państwa. Taka sytuacja grozi całkowitą dekapitalizacją przemysłu. Pogarsza się kondycja zdrowotna Polaków, mnożą się przejawy patologii społecznej, a w stanie zagrożenia ekologicznego znajduje się jedna trzecia obszaru państwa. Uwagi te wypowiadam z największą przykrością i głęboką troską. Przecież wszystko, co dzieje się w Europie, jest sprawą nas wszystkich. Nie można jednak zamknąć oczu na fakt, iż wasz kraj znalazł się w niezwykle niebezpiecznym punkcie zagrożenia cywilizacyjnego, a nawet biologicznego.

— Czy nie sądzi pan, że ostatnie działania rządu, jasno sprecyzowany program reformowania gospodarki są właśnie reakcją na zagrożenia, o których pan mówi?

— Jestem przekonany, że rząd ma pełną świadomość, iż trzeba ratować egzystencję państwa. Jeden z czeskich kolegów podzielił się wszakże ze mną opinią, iż obawia się, czy w obecnej dramatycznej sytuacji Polski jest wystarczająco dużo czasu na planowe i dalekosiężne działania reformatorskie. Sądzę, że kluczem do efektywności przemian musi być przede wszystkim powiedzenie narodowi całej prawdy o złożoności sytuacji. Dokonując pewnej parafrazy, powiedziałbym, że Polska czeka obecnie na swojego Churchilla, który mówić będzie o pocie i wyrzecznościach, lecz pokaze przy tym tkwiące na końcu tej drogi owoce zwycięstwa. Plan reformy, jaki zaprezentował dziennikarzem wicepremier Sadowski, jest bez wątpienia racjonalny i mądry. Na jego pomyslną realizację składa się wszakże ogromna różnorodność wielorakich czynników. Po pierwsze, Polsce potrzebne jest autentycznie zjednoczenie wszystkich sił społecznych. Konflikty między władzą a opozycją są w obecnej sytuacji śmieszne, jeśli nie tragiczne; chodzi bowiem o ratowanie bytu narodowego, co jest możliwe jedynie przez jak najpełniejszy narodowy konsensus. Po drugie, jest już gotowa partytura, jak mówi pan profesor Sadowski, lecz do jej wykonania potrzebni są muzycy grający konsekwentnie tę samą melodię. Tymczasem niektórzy z nich wciąż pozostają w dysharmonii. Mam tu na myśli choćby kadre administracyjne w terenie, udające, iż realizuje proces przemian, a w istocie nadal porażona w stanie blizny stabilizacji; mafie lokalne pozostają wciąż

wszepcoteżne. Po trzecie, próby autentycznej restrukturalizacji gospodarki napotyka na opory ze strony ogromnie wpływowego lobby przemysłowego. Tezy na V Plenum KC PZPR głosiły konieczność przeniesienia akcentów na sektor B, a więc na sektor dóbr konsumpcyjnych, a jeszcze bardziej na szeroko pojętą sferę usług. Przemysł ciężki i wydobywczy jest, jak wiadomo, zbyt rozbudowany, co powoduje jego głęboką deficytowość. Czy uda się pokonać owe opory przedstawicieli wielkoprzemysłowego klanu? Całą sprawę utrudnia dodatkowo, widoczna gołym okiem, demoralizacja społeczeństwa w odniesieniu do problemów pracy. Ludzie chcieliby mieć sklepy zaopatrzone jak w Ameryce przy minimalnym wszakże nakładzie własnego wysiłku; pragną zachowania zasad i przywilejów „państwa opiekuńczego” przy jednoczesnych efektach ekonomicznych państwa „wolnorynkowego”. A to nie jest niestety możliwe. Poważnym hamulcem procesu przemian jest też kwestia niewłaściwej relacji na rynku plac. Jeśli profesor uniwersytetu zarabia mniej niż niewykwalifikowany robotnik, to państwo musi ponosić określone konsekwencje takiego stanu rzeczy. Spada prestiż nauki i łamie się zasada sprawiedliwości społecznej. (Coraz mniej dzieci robotników i chłopów trafia na wyższe uczelnie). Nie bez znaczenia są tu także bardzo złożone uwarunkowania zewnętrzne. Fakt, iż w Związku Radzieckim podjęto szeroko zakrojony proces przebudowy, że przywódca tego państwa został pan Gorbaczow, człowiek będący animatorem głębokich przemian w łonie systemu, stanowi dla Polski istotny pozytywny handikap, z drugiej zaś strony gospodarcze potrzeba pilnie dwóch miliardów dolarów kredytu, bez których reforma będzie miała małe szanse powodzenia. Słowem Polska końca lat osiemdziesiątych jest krajem niezwykle skomplikowanym i niejednoznaczny.

— Według popularnej opinii, Polskę i Francję łączy szczególna więź tradycyjnej przyjaźni. A jednak w rzeczywistości oba społeczeństwa niewiele o sobie wiedzą, a już na pewno Francuzi wiedzą o nas mniej niż vice versa. Obok momentów zbliżonych i heroiczych były także w naszej wspólnej przeszłości chwile smutne i gorzkie. Francuzi, powołując się na własną rację stanu, nie chcieli umierać za Gdańsk, a osamotniona Polska przyjęła na siebie uderzenie trzech czwartych wszystkich sił niemieckich. Nie wspominam o tym dlatego, aby drażnić, lecz przecież w dramatycznym momencie naszej najnowszej historii tak wiele oficjalnych czynników francuskich, w tym także prasa, pouczało nas o „polskiej” racji stanu, o tym, jak powinniśmy żyć we własnym kraju. Jaka jest pańska opinia o tych sprawach?

— Poruszył pan znowu cały pakiet problemów z przeszłości, teraźniejszości, a nawet przyszłości. Reakcje francuskie na stan wojenny były bez wątpienia podyktowane emocjami. Nie bez przyczyny działało się tak głównie u nas i w Stanach Zjednoczonych, gdyż w tych krajach skupia się największej, jak sądzę, żywotnych uczuć wobec Polski. Zaczęliśmy jednak od przeszłości. Będąc studentem we Francji, często brałem udział w dyskusjach o sytuacji z 1939 roku. Polska pozostała wówczas osamotniona, to prawda, ale z drugiej strony nie można zignorować faktu, iż pan Beck prowadził po cichu swoją politykę kokietowania Hitlera i długo nie było pewności, co do rzeczywistych intencji ówczesnego polskiego rządu. Taka postawa utrudniała niewątpliwie wzajemne montowanie skutecznego sojuszu. Myślę jednak, że sprawy te należą już do przeszłości i nie ma chyba szczególnych powodów, by ciągle do nich wracać. Uczucia żyłowości i sympatii współczesnych Francuzów są dla Polski ogromne i to jest ważne. Natomiast ich stosunek do mała faktograficzna wiedza o wa-

szych sprawach wynika, jak przypuszczam, przede wszystkim z pewnej istniejącej i u nas „wyspiarskiej mentalności”. Jest to postscriptum do czasów dawnej potęgi. Owe ciężoty do izolacji rzutują zresztą choćby na handel zagraniczny Francji, rozwijający się o wiele mniej dynamicznie niż, dajmy na to, zachodniemiecki.

Wracając jednak do odbioru stanu wojennego. Najpierw zaistniało więc owo przemożne rozbuchanie emocji, potęgowane dodatkowo faktem braku konkretnych informacji o tym, co się naprawdę w Polsce dzieje. Po drugie, w Polsce pracuje zaledwie dwóch korespondentów francuskich na trynastu amerykańskich i dziewięciu zachodniemieckich. Nasze zadanie realistycznego przedstawienia sytuacji było więc bardzo utrudnione. Trzytygodniowa blokada informacyjna, obrazki czółgów na ulicach Warszawy, dramatyczne głosy Polaków przebywających wówczas za granicą — wszystko to wywarło ogromną nerwowość w widzeniu polskich spraw w tamtym okresie. Również prasa, środki masowego przekazu reagowały na ogół w sposób podtrzymujący emocjonalne reakcje ludzkie, a zarazem zbyt komercyjnie, z akcentowaniem głównie elementów sensacji. Wyrządziło to na pewno niepowetowane szkody. Szczerze ubolewam nad tym, że obraz Polski stanu wojennego w środkach masowego przekazu we Francji był nieprawdziwy. Co do mnie, znalazłem się wkrótce w Paryżu i prowadząc rozmowy z naszymi politykami, starałem się przekazać im własną wizję wypadków. Po wysłuchaniu moich relacji przyznawano zazwyczaj, że problem był o wiele bardziej skomplikowany, niż uprzednio sądzono. Zawsze starałem się bowiem pokazywać Polskę w całej złożoności jej spraw, jako miejsce, gdzie nic nie jest białe ani czarne, lecz zawsze pełne rozmaitych odcieni. Uważałem przy tym, iż generał Jaruzelski zdobył się na ten dramatyczny krok z obuwie wysoce patriotycznych, przekonanym głęboko, że działa dla ratowania egzystencji narodu. Niektóre więc oceny jego osoby na Zachodzie były po prostu niesmaczne. Już wtedy pisałem, że jego pragnieniem stało się zachowanie tych reform, które były możliwe do zrealizowania w sytuacji geopolitycznej tego kraju. W poprzednim okresie rozbudowano ogromne nadzieje, lecz „Solidarność” była także bardzo zróżnicowanym głosem społeczeństwa. Pozostanie ona na zawsze ważnym rozdziałem najnowszej historii Polski, i o tym nie można zapominać, gwoli uczciwości nie można wszakże pominąć i tego, że oprócz wielkich ideałów były w tym ruchu elementy nieodpowiedzialne, zarówno w stosunku do zasług Polski, jak i w odniesieniu do sytuacji wewnętrznej. Na przykład program Związku „Solidarności” okazał się niespójny i pełen sprzeczności, co spowodowało, iż przegapiono wówczas szansę powiedzenia narodowi całej prawdy i wezwania go do efektywnego wyprowadzania kraju z kryzysu. Każda więc ze stron miała w owym czasie swoje własne racje, ale także i niemalo ukłonnosci.

— Dążność do przemian, przebudowy, zdynamizowania procesów gospodarczych i społecznych wydaje się być obecnie głównie domeną państwa bloku socjalistycznego. Tymczasem porażone w zamocnej stabilizacji, wysoka rozwinięte państwa Zachodu jakby odpowiały coraz wyraźniej za konserwatywnym, zachowawczym wizerunkiem sprawa naszego świata. Pozostawiając jeszcze na boku całą złożoność sytuacji państwa trzeciego świata, czy zrodza się pan z przedstawioną tu wizją, czy z istniejącą w tym dysharmonii nie wynika, pańskim zdaniem, szczególnie niebezpieczeństwo dla przyszłości naszej planety?

— Jednym z elementów takiego stanu rzeczy, który powinien szybko ulec korekcie, jest owo „krótkie” widzenie na Zachodzie ewolucji w krajach so-

cjalistycznych, rozbawowo procesy te starano się u nas zbagatelizować. Nie oznacza to wszakże, iż świadomości rewolucyjności tych zmian ulatwił Zachodowi sytuację. Wrecz przeciwnie. Inteligentny, idący w kierunku reform przywódca konkurencyjnego mocarstwa jest przecież potencjalnie bardziej niewygodnym partnerem. Ale zmiany te są tak ważne dla całego świata, że w ramach swych możliwości Zachód powinien je bezwarunkowo wspierać i robić wszystko, żeby eksperymen- Gorbaczowa w ZSRR i Jaruzelskiego w Polsce zakończyły się sukcesem. Można to osiągnąć choćby poprzez zwiększenie obrotów handlowych czy udzielanie kredytów. Sądzę, że w obecnej sytuacji jest to absolutna powinność naszej strony. Z kilku powodów. Po pierwsze, zawsze uważałem, że to, co mówi pan Gorbaczow, a co mieści się także w tradycji generała de Gaulle'a, a więc ochrona Europy nie tylko przed odmiennymi w pryncypach celami politycznymi, ale także przed nierównomiernym rozwojem cywilizacyjnym, jest sprawą wszystkich Europejczyków. Po drugie, niepowodzenie eksperymentów reformatorskich na Wschodzie postawiłoby władze w tych krajach w sytuacji desperackiej, co musiałoby rzutować automatycznie na spotęgowanie się wszystkich zagrożeń na linii Wschód-Zachód. Po trzecie, wreszcie, nie da się z tego układu wykluczyć problemu Północ-Południe. Pauperyzacja społeczeństw trzeciego i czwartego świata stanowi swoistą bombę zegarową. Chęć zrobić coś dla narodów tamtego obszaru, absolutna koniecznością staje się zamrożenie i poważna redukcja arsenaliów militarnych, a także pełne współdziałanie polityczne. W ten oto sposób problemy zachowania równowagi na linii Wschód-Zachód rzutują na całokształt spraw naszego globu.

— Świat znalazł się więc w szczególnym punkcie swojego rozwoju. Ludzka skłonność do agresji objawia się w dziesiątkach zbrojnych konfliktów na mniejszą skalę, potęgają się choroby cywilizacji, moralna kondycja człowieka znacznie podupada. Jakie działania polityczne są zatem, pana zdaniem, najważniejsze na obecnym etapie rozwoju ludzkości?

— Sądzę, że istotnie mamy w tym przypadku do czynienia z pewnym stanem krytycznym. Przyczyny tego kryzysu są oczywiście w różnych przypadkach różne. Droga do jego przezwyciężenia musi prowadzić jedynie poprzez zerwanie z dotychczas obowiązującymi schematami. Kryzys światowy dotyczy przecież nie tylko sfery gospodarczej, lecz, w większym jeszcze bodaj stopniu, obszarów ludzkiej świadomości. Upadek ideałów, brak perspektyw dla wstępujących w życie pokoleń — oto cała istota problemu. Człowiek zatracił już w pewnym sensie widzenie własnej drogi, rozma- zał istotne nadrzędnych wartości. W tej sytuacji jedyną szansą ludzkości jest głębsze otwarcie się na jednostkę, zwrot ku personalizmowi. Niech pan spojrzy, Michail Gorbaczow i Wojciech Jaruzelski chętnie mówią o personalizmie marksistowskim. Z drugiej zaś strony, papież Jan Paweł II głosi idee personalizmu chrześcijańskiego. Czyż nie istnieje tu ogromny obszar potencjalnego porozumienia? Mówiąc uprzednio w sposób dramatyczny i w dużym stopniu krytyczny o sytuacji w Polsce, muszę teraz nawrócić do tego wielkiego kapitału nadziei, który objawia się właśnie w tym kraju. Stanowi go po prostu człowiek. Polak. Myślę bowiem, że można przewrotnie stwierdzić, iż materializm dialektyczny, obowiązujący w Polsce od lat czterdziestu, okazał się w swych skutkach negatywnych mniej „groźny” niż materializm dnia codziennego, który systematycznie niszczy duże człowieka na Zachodzie. Wiara, bogactwo ideowe ludzi w waszym kraju powodują, że przeciętny polski obywatel jest obecnie o wiele efektywny niż jego zachodni odpowiednik. Nadzieja, o której mówię, może być wszakże zrealizowana pod warunkiem oarcia całokształtu ludzkich spraw na podmiotowości człowieka, a nie na abstrakcyjnych czy totalitarnych koncepcjach.

— Dlaczego podjął pan wykonanie nie tożsame zawodu dziennikarza? Jakie sukcesy towarzyszyły jak dotąd pańskiej zawodowej działalności, a jakie były chwile zwątpienia? W jakim stopniu są dziennikarstwo twórczością, a w jakim jedynie „przetworczytelnym” informacją, zaleceniami od swoich dysponentów?

— Do dziennikarstwa trafiłem zupełnie przypadkowo, a stało się to znowu za sprawą Polski, a ściślej mówiąc za sprawą pewnej Polki. Tak bardzo zapragnąłem być blisko niej

(poznaliśmy się w okresie moich studiów pod dyktando na Uniwersytecie Warszawskim) że zgłosiłem się do redakcji „Le Monde” i po odbyciu określonego stażu znalazłem się w Polsce jako korespondent. I tak idź zostało. Jeśli zaś chodzi o sukcesy i zwątpienia, to owszem, bywały i trudne momenty w mojej pracy. Raz musiałem nawet opuścić Polskę w trybie pospiesznym. Było to na początku 1971 roku. Jednemu z członków ówczesnego Biura Politycznego nie spodobała się moja publikacja i dano mi niewiele czasu na opuszczenie naszego kraju. Drugi moment trudny stanowiły pierwsze chwile po wprowadzeniu stanu wojennego. Z punktu widzenia nośności informacyjnej był to okres niezwykle frapujący, z drugiej zaś strony nałożona blokada nie pozwalała na przekazywanie informacji na zewnątrz. A nie ma przecież dla dziennikarza trudniejszej sytuacji niż przymusowe milczenie. Co do sukcesów, nie mniej o nich sędzić. Jesteśmy kolegami, wie pan więc również dobrze jak ja iż nasza praca jest męczącym, lecz zarazem frapującym procesem ciągłego somosprawdzania się. Przypominamy w tym względzie aktorów. Każdy artykuł jest nową próbą, nową rolą. Role te bywają udane, zdarzają się wszakże i wpadki. Jeśli ktoś zareaguje na nasz tekst, jeśli zdołamy kogoś poruszyć, napotykamy wówczas swój sukces.

— Mieczysław F. Rakowski powiedział niedawno w wywiadzie telewizyjnym, że dziennikarze tworzą pewną wybrana kaste, mają bowiem prawiwie mówienia do milionów. Stąd wynika wszakże i ich odpowiedzialność za publikowane treści. Jak rozumie pan zawodowy nakaz uczciwości i konieczności docierania do obiektywizowanej prawdy wbrew naturalnej w tym zawodzie pogoni za sensacją i niezwykłością?

— Zgadnam się, że jest to zawód szczególny. Generalnie obowiązuje w nim bowiem zasada jednoosobowej odpowiedzialności. Wymaga on także bezustannego docierania do informacji, a więc stałego wychodzenia do ludzi. Zawód nasz wyklucza przy tym udawanie, iż zna się prawdę ostateczną w jakiegokolwiek kwestii. Obiektywizm jest jednak złym pojęciem w tym przypadku, zakłada bowiem niemal całkowity dystans do opisywanej sprawy. Zastąpiłbym go raczej właśnie terminem — uczciwość. Przede wszystkim uczciwość wobec siebie. Nie można bowiem myśleć inaczej, a inaczej dokumentować rzeczy na piśmie. Sądze, iż jest w tej profesji spory element powołania, nawet jeśli trafia się do niej przypadkowo. Zawsze starałem się pisać tak jak czuję, jak widzę życie. W przypadku spraw polskich odbierałem w rezultacie ciężki zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Razy te były szczególnie bolesne, kiedy pochodziły od ludzi, których darzę szacunkiem. Jest to jednak nieodłączny element zawodowego ryzyka. Sięganie po różne okulary przy różnych okazjach nie odpowiada mojemu poczuciu zawodowej rzetelności. Nie mógłbym, na przykład, uchwalonego przez Zjazd „Solidarności” apelu do klasy robotniczej krajów socjalistycznych nazwać gestem politycznej mądrości, tak jak nie będę wychwalał braku rzetelnej informacji o obecnym stanie polskiej gospodarki.

— Wtorkowe konferencje prasowe rzecznika polskiego rządu urosły w opinię powszechną do swoistego, nowego zjawiska politycznego. Jak ocenia pan ich informacyjną wartość i co sądzi pan o osobowości ministra Urbana?

— Po pierwsze, jako skromny korespondent zagraniczny nie mogę pozwolić sobie na ocenę osobowości ministra polskiego rządu. Byłoby to nieaktowne. Jeśli zaś chodzi o konferencje, to jest rzecz ogromnie ważna, że się w ogóle odbywają. Stanowią one dla nas istotne źródło informacji. Na pewno osobowość pana Urbana powoduje, że spotkania te są żywe i ciekawe. Prawde mówiąc, nie bardzo potrafię je sobie wyobrazić bez obecnego rzecznika. Po drugie, dają nam one pośrednią możliwość rasygnalizowania społeczeństwu polskiemu pewnych aspektów aktualnej rzeczywistości. Za to winniśmy wdzięczność ministrowi Urbanowi. Nie osadzając więc w żadnym wypadku jego osobowości, nie mogę się jednak powstrzymać od pewnego porównania. Uważam za rzecz bardzo niefortunna, iż człowiek, tak wybitny i przychylny jak Mieczysław F. Rakowski posiadał te wady, iż przagnął, by wszyscy go kochali. Pan Urban zaś z kolei czepie, jak sądzę, zbyt

wielką przyjemność z faktu własnej niepopularności. Z całym szacunkiem dla jego inteligencji muszę powiedzieć, że taka postawa nie wzmacnia chyba argumentacyjnej siły przekonywania narodu do rządowych zamierzeń. Zbyt często — świadomie lub nie — drażni on społeczeństwo. Czy w dobie drugiego etapu reformy jest to działanie korzystne dla polskiego rządu? Mam co do tego swoje wątpliwości.

— Powróćmy jeszcze na chwile do spraw polskich. Jaki typ kontaktów jest dla pana w naszym kraju szczególnie istotny? Co pana u Polaków drażni, a co wzbudza pana sympatię? Czy istnieje pańskim zdaniem, coś takiego jak „polski charakter narodu”?

— Niemal jedna trzecia swojego życia spędziłem w naszym kraju. Nic zatem dziwnego, że lubię Polaków, czasami nawet za ich cechy negatywne, jeśli tylko nie prowadzi do dramatu. Te wszystkie sprawy tkwią bowiem paradoksalnie bardzo blisko siebie. Wszystko, co wydarza się w Polsce, ma swój wymiar ludzki. I to mnie najbardziej w naszym kraju fascynuje. Druga frapująca cecha Polaków to ich niezachwiana gotowość do entuzjazmu, do niewyczerpanego zaufania, do rozpoczynania wszystkiego od nowa. Świadczy to o ogromnej sile witalnej tego narodu. Nigdy nie ufałem obiegowej opinii, że Polacy opornie poddają się rządzeniu. Sądze, że przeciwnie, cechuje ich właśnie ogromna gotowość do zaufania; zaufania i przychylności. Polacy ustawicznie szukają tego, co jest w życiu istotne. Choćby te „nocne rozmowy”. Ludzie na Zachodzie zupełnie nie znają czegoś takiego. W ich przypadku nastąpiła już bowiem pewna śmierć osobowości. Nie rozmyślają nad tym, co robić z tym światem, co robić ze swoim życiem, co robić z własną „duszą”. Te problemy wydają im się po prostu śmieszne. Tymczasem Polacy ustawicznie penetrują los człowieka, los swojego narodu, mówią i myślą o takich właśnie sprawach. I to jest ogromnie ważne. Fakt, że obecny papież pochodzi z Polski, nie powinien nikogo dziwić. Wydaje mi się bowiem, że na tym etapie rozwoju cywilizacji, właśnie Polska jest krajem, gdzie sprawy najważniejsze dla człowieka są bezustannie przeżywane. Niezależnie więc od trudności chwili bieżącej, największym naszym bogactwem jest po prostu Polak, człowiek. Jeśli gdziekolwiek na świecie mogłyby wydarzać się cuda, to tylko tutaj. By ten obraz nie wypadł wszakże zbyt optymistycznie, muszę dodać, iż Polaków cechuje również gigantycznie rozbudowany werbalizm, którego nie wspierają w dostatecznym stopniu konkretne działania. Po owych „nocnych rozmowach” przychodzi z reguły dzienny brak zaangażowania w pracę, w upartej i mozolnej działalności wytwórczej. Jest to po trosze także cecha Francuzów. Zbawiamy więc trochę świat na zasadzie leorii. A przecież skoro już jest w nim tak dużo do zrobienia, można by mu przynajmniej nadać bardziej ludzkie oblicze.

— Kim są państwo Marquerrite prywatnie? Pańska żona jest jak wiem, Polką, a dzwoniąc do pana, by umówić nasze spotkanie, usłyszałem w słuchawce głos pańskiego syna.

— Mogę tylko powiedzieć, że stosunki rodzinne polsko-francuskie mają się zupełnie dobrze. Jest to widać mieszanka, która się sprawdza. Moją żonę poznałem w 1959 roku, ślub wzięliśmy w 1967, czekaliśmy dość długo, bo dwanaście lat, nim urodził się Eryk. Niedawno przysłał na świat naszą córkę. Żona moja jest architektem, pracuje na Politechnice Warszawskiej. W domu prowadzimy ożywione dyskusje o Polsce i świecie. Stale w pobliżu mam więc „polski głos”, i to głos często bardzo krytyczny. Nie mogę zatem, co oczywista, pracować tutaj w poczuciu dystansu i chłodnej objętości. Kiedy patrzę na swoje dzieci, wraz z innymi Polakami zadaje sobie pytanie: jaki będzie ten ich kraj? Chciałbym, żeby był krajem pomysłowości i postępu; krajem, w którym młodzi ludzie odnajdą jasne perspektywy ciekawszej przyszłości.

— Dziękuję panu bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

Telewizja po lubelsku

Mirosław Derecki

PRZEZ pierwszą połowę tygodnia ekipy reporterskie, wyposażone w elektroniczne kamery, zbierają materiał, przemierzając region. W czwartek (w „centrali” przy ulicy Obrońców Pokoju w Lublinie) nagrywa się elementy studyjne programu; to znaczy serwisy informacyjne czytane przez spikerów; pojawiają się wówczas w studio także „goście programu” nagrywa się z nimi rozmowy, które za dwa dni pójdą „na wizję”. Również w czwartek trwa montaż całości najnowszego wydania „Panorama” z uwzględnieniem miejsca na ewentualne, piątkowe lub wczesne sobotnie „aktualia”. No, i w sobotę o godzinie osiemnastej, jak co tydzień, na antenie warszawskiej telewizyjnej „dwójki” wchodzi czółowka z napisem „Telewizyjna Panorama Lubelska”; rozpoczyna się półgodzinny program spod znaku lubelskiego Koziołka.

W ciągu ostatnich niespełna trzech lat „Panorama” zadomowiła się już dobrze na telewizyjnej antenie. Lublinianie zaakceptowali ten z każdym miesiącem lepszy, coraz bardziej dopracowany, żywo i dynamicznie realizowany program. Jego twórcami są ludzie młodzi, myślący nowoczesnymi kategoriami, nie pozbawieni humoru, satyrycznego zacięcia.

Na dobre zrosły się z telewizyjnym lubelskim „okienkiem” twarze Małgorzaty Orłowskiej, Krzysztofa Karmana, Jeremiego Karwowskiego i Adama Sikorskiego, kierownika Redakcji Telewizyjnej „Rozgłośni Lubelskiej Polskiego Radia.

Ten czteroosobowy zespół dziennikarski to jednak tylko część osób pracujących przy realizacji „Panoramy”. Trzeba do tego doliczyć około dziesięciu osób zatrudnionych w dziale techniki telewizyjnej oraz czterech operatorów kamer i realizatorów dźwięku, a także piątkę dziennikarskich adeptów, lubelskich studentów, z Akademickiego Radia „Centrum”. Ta dwudziestokilkusobowa ekipa odpowiada wspólnie za to, aby co tydzień półgodzinny program objął dwadzieścia dwa do dwudziestu sześciu tematów. I aby program ów cechowała szybkość i dynamika.

Lubelska Rozgłosnia Polskiego Radia obchodziła właśnie swoje trzydziestopięcioletcie. Jej najmłodsza redakcja, ta — kierowana przez red. Adama Sikorskiego, także posiada już swoją historię. Korzeniami sięga początku lat sześćdziesiątych, kiedy to Lublin po raz pierwszy pomyślał o własnej telewizji. Walnie przyczynił się do tego... program kabaretu „Czart”, zatytułowany „Tele-fer-ku-ku”, a także pojawienie się na ulicach miasta pierwszej lubelskiej ekipy Dziennika Telewizyjnego.

Cała ekipa „punktu korespondencyjnego” — bo tak brzmiała oficjalna nazwa owego przedsięwzięcia — składała się z dwóch osób, zaś cały sprzęt — ze sprężynowej szesnastomilimetrowej kamery marki „Bolex”, napędzanej bateriami kamery „AK-16” i jednej „różdżki” oświetleniowej. Operatorem był reporter radiowy, Andrzej Malinowski, a jego asystentem... Mirosław Derecki.

Pierwszym etalowym korespondentem Dziennika TV w Lublinie został Antoni Kraus, absolwent Wydziału Operatorów PWSTiF w Łodzi. On to był autorem słynnego zdjęcia zamieszczonego na łamach „Kurierza Lu-

belskiego”, przedstawiającego operatora telewizyjnego z filmową kamerą zamontowaną na... łacze z napisem: „Telewizja Lublin”. W taki to swoisty sposób zaprezentował Kraus, przeciwko niewywiązaniu się przez władze wojewódzkie z przyrzeczenia przyznania przedstawicielstwu TV samochodu służbowego. Protest na niewiele się zresztą zdał: po wyjeździe Krausa z Lublina jego następcą, Adam Tomanek, wraz z kamerzystą i asystentem nadal jeździł w teren wynajętą taksówką...

Przed niespełna dziesięciu laty, w okresie wielkich nadziei związanych z powstającym Lubelskim Zagłębem Węglowym, zaawizowała w Lublinie myśl o powstaniu także tutaj regionalnej stacji telewizyjnej.

Pierwszym etapem miał być nowoczesny reporterski wóz telewizyjny marki Mercedes, zakupiony z wojewódzkich funduszy społecznych. Niestety, nie rozumiano, że tego rodzaju sprzęt w miejscowych warunkach, wobec braku przynajmniej jeszcze jednego zestawu montażowego, a przede wszystkim — własnego nadajnika (do dzisiaj zresztą, jak już się rzekło, koczująca lubelska telewizja z nadajnika warszawskiego 2 programu TV), wcale nie posunie sprawy do przodu. A na dalsze inwestycje nie było zarówno pieniędzy, jak i odpowiedniego zainteresowania ze strony ówczesnych naczynych władz Radiokomitetu. Zabrakło wśród entuzjastów lubelskiej telewizji myślenia całym „ciągiem technologicznym”. Ostatecznie mercedes musiał odejść na „kondolerską” służbę; jeździł po Polsce, wykorzystywany do robienia programów centralnych.

Był to okres jakby trójtorowości działania zaczątków „własnej” telewizji. Z jednej strony — red. Adam Tomanek wraz ze swoją ekipą filmową „Poltelu” (posługująca się tradycyjną kamerą filmową) pracująca dla Dziennika Telewizyjnego. Z drugiej — mercedes wyposażony w kamery i całą technikę elektroniczną, bardziej służący Warszawie niż Lublinowi. I wreszcie — lubelskie „okienko”, działające od wiosny 1982 r. w powstałym wówczas, nadawanym z Warszawy „Telewizyjnym Kurierze Województw” realizowanym w technice filmowej. Lubelskie „okienko” w TKW przygotowywał red. Tadeusz Chwalczyk z miejscowej rozgłośni, sprawujący funkcję kierownika redakcji programów telewizyjnych w Lublinie.

Pierwsze wydanie „Telewizyjnej Panoramy Lubelskiej” zostało wyemitowane 12 stycznia 1983 r. Wiosną 1983 r. kierownictwo tego programu objął red. Adam Sikorski.

Kilkuletni okres trójtorowości pozwolił na wyszkolenie ludzi zainteresowanych telewizją. Ukształtowała się grupa dziennikarzy, presenterów, operatorów i techników telewizyjnych. Pracowali oni w niezwykle trudnych warunkach. Filmowe materiały nakręcone przez lubelskich reporterów, wędrowały do Warszawy celem obróbki technicznej. Potem do stolicy wyruszały dziennikarze, aby uczestniczyć w montażu materiałów. Wreszcie — już za czasów „Telewizyjnego Ku-

Dokończenie na str. 9

Potrzeba „oczyszczenia”

PROFESOR Aleksander Krawczuk uskarżał się swego czasu w wywiadzie dla „Kamery” na brak w naszej współczesnej literaturze powieści popularnego obiegu. „Dobra powieść dla szerokiego odbiorcy w zasadzie u nas nie istnieje — powiedział. — Każdy pisarz od razu czuje się noblistą, wieszczęm, nauczycielem, warszatem zaś literackim gardzi. Młodzi twórcy uważają pisanie dobrych powieści za rzecz poniżej własnej godności. Ich zdaniem powieść powinna być od razu wielka. Mamy więc wielu „geniuszy” i garstkę dobrych literatów. A przecież stała popularność takich pisarzy, jak Kraszewski, Dołęga-Mostowicz, Rodziewiczówna, Bunsch, świadczy o zapotrzebowaniu na prozę uczciwą i solidną. Elita intelektualna wciąż zachylstuje się u dziwnieniami typu — Witkacy. [...] Ale Witkacy to pewien fenomen, którym w żadnym wypadku nie można żyć na co dzień”.

I to jest prawda. Z powieści popularnego obiegu tworzy się u nas co najwyżej „kryminały”, z małym dodatkiem młodzieżowej powieści współczesnej i historycznej. W recepcji prozy zaistniała więc ostatnio dziwna sytuacja. Pokolenia dojrzałe wciąż hołubią klasykę, z przymykaniem oczu na wszelkie dokonania pisarzy najnowszych, najmłodsza zaś generacja czytelnicza o pewnych ambicjach intelektualnych optuje jedynie za nowoczesną prozą i to z reguły obcą, z wyłączeniem klasyki.

Wszystko to, rzecz jasna, w odniesieniu do literatury obiegu wysokiego. Pomijam tu już świadomie całe zwroty kulturowe w kierunku powieści faktu i coraz szersze ustępowanie literatury na rzecz innych, „szybszych w percepcji” środków artystycznego wyrazu. Nie o to wszakże chodzi. W wyniku owej „wybiórczości” czytelnicznej elity najszerze warstwy literackich odbiorców znalazły się w stanie niezawinionej izolacji. Nikt nie poczuwa się do tego, aby dla nich tworzyć; nikt też nie próbuje nawet utrafić w ich gusta. (Przy czym prawdą jest, że na przestrzeni lat gusta te nie zmieniły się zasadniczo, o czym zaświadczyć może choćby niebawła popularność sfil-mowanej „Isaury”). Samo istnienie tej grupy odbiorców nie musi być jednak traktowane jako zjawisko do końca pejoratywne. W człowieku wciąż będzie istniało zapotrzebowanie na przeżycia najprostsze, a realnego świata nigdy nie zaludnią same tylko olbrzymy. (Kto wie, czy nie działa tu zresztą swoiste sprzężenie zwrotne: brak dobrej literatury popularnej — mniejsze wyrobienie czytelnicze).

W niedostatku zatem współczesnej „produkcji” obiegu szerokiego nie powinna już dziwić otwartość na tego typu prozę z niedawnej przeszłości. Stąd właśnie stała fascynacja choćby Dołęgą-Mostowiczem. Któż bowiem lepiej od niego potrafił trafić w owe ciągłki literackie najszerzych warstw czytelniczych? To, że powieści owe naszpikowane są szczegółami życia codziennego epoki, która nie istnieje, wcale nie umniejsza ich atrakcyjności, a nawet, przeciwnie, nadaje im posmak swoistej egzotyki, podnosi ich „chodliwość” i pobudza nostalgię. Tak oto po raz kolejny odżywa ów „pierwszorzędny pisarz drugorzędny”. Gotowość przy tym do jego akceptacji przez odbiorców potwierdziły już wcześniej sukcesy filmowych wersji „Kariery Nikodema Dyzmy”, „Doktora Murka” czy „Profesora Wilczura”.

Dobrze się zatem stało, że białostocka KAW przypomniała „Kiwony”, jedną z mniej znanych powieści w dorobku pisarza. „Kiwony” drukowane były w piśmie „ABC” (którego Mostowicz był wieloletnim współpracownikiem) od stycznia do maja 1932 roku. Nigdy nie ukazały się wszakże w wydaniu książkowym. I chociaż, tak jak w innych powieściach Mostowicza, istnieje tu niestety rozbieżność między pomysłem, a poziomem jego realizacji, to i tak powieść stanowi ów wysoce pożądany na rynku rarytas. (Gdyby autor osiągnął już wówczas taki pułap artystycznego wyrobienia jak przy pisaniu swej powieści ostatniej pt. „Pamiętnik pani Hanki”, mogłyby „Kiwony” stać się nawet znaczącym dziełem polskiej literatury satyryczno-obyczajowej. W kształcie, w jakim pozostały, stanowią jedynie solidną powieść dla szerokiego odbiorcy).

Nigdy nie dziwiło mnie w przypadku Mostowicza istnienie tak wielu „poprawiaczy”, autorów i recenzentów pragnących inaczej rozegrać jego dzieła (Grzymała-Siedlecki, Wyka). Pomysły bowiem tych utworów, to zawsze materiał na powieść głęboką, na

literaturę wielką, o trwałym znaczeniu. Taki choćby „dyzmizm” czy moralna przewrotność wymiaru sprawiedliwości („Prokurator Alicja Horn”). Podobnie ma się zresztą sprawa także z „Kiwonami”.

Ich treścią jest po prostu biografia „kiwona”, a istota tej biografii staje się zrozumiała po wyjaśnieniu tytułu. „Kiwony” to figurki z chińskiej porcelany, które raz trącone ręką kiwają potakująco głowami przez długi okres czasu. I właśnie wąż „kiwonowatości”, biernej akceptacji życia, byle tylko nie podpaść, stanowi myśl przewodnią. Mostowiczowego utworu. „Kiwonowatość” to, jak „dyzmizm”, pojęcie społeczne. Nie zeszło wszak ze świata z odchodzącą epoką. To problem aktualny, wciąż żywo obecny we współczesnym życiu. Bohatera powieści Józefa Domaszkę stać na odruch buntu tylko we wczesnej młodości. Całe dojrzałe życie pod skrzydłami zamożnego stryja podda już bez zastrzeżeń ugodowej nijakości. To właśnie stryj Cezary zalicza kolejne pokolenie „kiwonów”, a Józef przekazuje to następnej generacji. Ta właśnie aktualność podejmowanych tematów wyjaśnia sporą część tajemnicy wciąż żywej fascynacji Dołęgą-Mostowiczem.

Istnieje w „Kiwonach” i to wszystko, co jest w Mostowiczu zawsze. Wspaniałe obrazy satyryczne warszawskiej elity z pierwszych lat niepodległości, poplątanie mnogości wątków fabularnych, dialog z czytelnikiem „ponad głowami” postaci i wartkość powieściowej akcji, przerywana swoistą techniką retardacji. (Czytelnik już zna przypuszczalny rozwój wydarzeń, podczas gdy bohater pozostaje nadal nieświadomy wielu faktów. Kreuje to atmosferę swoistego suspense’u).

Mimo owych wspomnianych już powyżej zalet jest w „Kiwonach” także sporo literackich słabości. Wytykano je Mostowiczowi od chwili, gdy tylko zaistniał jako pisarz. Nie widzę zatem sensu, by owe zarzuty przywoływać raz jeszcze. Zwłaszcza, że jest w „Kiwonach” ów charakterystyczny dla Mostowicza dodatkowy wątek — znakomity materiał na odrębną powieść. Chodzi o wspaniały temat małżeństwa bohatera. Małżeństwa, które na pozór jawi się otoczeniu jako twór doskonały. Tymczasem w swej istocie jest od początku skazane na porażkę. Kapitałne są sceny, gdy bohater nie potrafi zrozumieć niechęci, a potem nienawiści swojej życiowej partnerki. Wszystko wszakże wykonuje, najlepiej, jak umie. Jest uporządkowany, troskliwy, łagodny i uczciwy. Jest wręcz drobnomieszczańskim wzorem cnotliwego męża. Nie umie tylko pojąć, że „kiwonowatość”, owocująca szczęściem w życiu zawodowym, staje się w rodzinie przyczyną jego klęski.

Ten właśnie wątek wydaje mi się najbardziej wart podkreślenia. Uświadamia bowiem odbiorcy o wiele subtelniej niż wątek główny, że spustoszenia czynione przez ludzi bez charakteru muszą być fenomenem do końca absolutnym. W wątku tym mieści się cała mądrość Mostowicza-prześmiewcy. Szkic, zaledwie rzucony na szersze tło powieściowe, dotyka istoty wielu rodzinnych dramatów. Stanowi temat wciąż jeszcze czekający na swojego twórcę. Dobrze się więc chyba stało, że owe powieści pozostały w kształcie pierwotnie zamierzonym. Wołanie bowiem o współczesną powieść typu Mostowiczowego kryje w sobie sens poważniejszy, niż jedynie pragnienie literackiej rozrywki. Mostowicz, grając na uczuciach odbiorcy, potrafił bez wątplenia wzbogacać przy okazji jego intelektualną wrażliwość, będąc przy tym swoistym inspiratorem za-dumań.

Józef Rurawski, autor niedawno wydanej biografii pisarza, w taki oto sposób podsumowuje całe to zjawisko: „Czyżby ta poczytność spowodowana była jedynie niezmiennością stanu świadomości literackiej »jakiejś grupy czytelników«? A może chodzi tu przede wszystkim o trafne świadome zaspokajanie głębszych potrzeb odbiorcy, potrzeb nie zawsze przecież w pełni uświadomianych, ale tkwiących w każdym z nas? Nikt chyba w obiegu popularnym nie potrafił tak jak Mostowicz stworzyć czytelnikowi szansy »wejścia« w powieść, pozwolić mu na utożsamienie się z bohaterami. A te potrzeby przecież funkcjonują także i dzisiaj. I nie należy ich lekceważyć. Człowiek odczuwa potrzebę wzruszeń, współprzeżywania losów bohatera i własnych. Potrzebne mu są także swoiste stany »oczyszczenia« przez literaturę, przeżycia cudzych losów zamiast swoich, nie zaspokajających w pełni osobowości”.

To wszystko, o czym pisze krytyk, znaleźć można w „Kiwonach”.

Piotr Beck

Tadeusz Dołęga-Mostowicz: „Kiwony”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Białystok 1987.

FILMY KIRY MURATOWEJ

ODMIANA losu” — taki tytuł nosi film 53-letniej Kiry Muratowej. Moim zdaniem, jest on symboliczny. Dziś ta odeska reżyserka znajduje się, można powiedzieć, u szczytu sławy: jej obrazy otrzymują nagrody na festiwalach, reprezentują kinematografię radziecką poza granicami kraju. A przecież owo uznanie i sukcesy Muratowej poprzedzał trudny, dramatyczny okres: przez ponad dwadzieścia lat jej filmy jeden za drugim napotykały na niezrozumienie i wrogość biurokratów.

Ekran i widz

Igraszki

w niedzielne

przedpołudnie

JEST niedzielny warszawski poranek 8 marca 1953 r. Trzy dni temu zmarł Józef Stalin. Miasto przybrało żałobny wygląd, ulicami ciągną pochody ze spowitymi kirem chorągiewami i portretami niezującego generalissimusa, kierując się ku centrum stolicy, gdzie ma się odbyć wielki wiec. Z ulicy, spoza bram kamienic, dochodzi na ciemnawo, głębokie, czynszowe podwórka tylko odgłos dziesiątków tysięcy powolnych kroków. Tymczasem tutaj, na podwórkach — miejscu spotkań i zabaw dzieci z różnych mieszkań i różnych pięter — trwa normalny, wczesnoniedzielny rytuał: jedni szykują się do pójścia do kościoła, inni przypinają ordery, starszki plotkują pod przyklepioną do jednej ze ścian kapliczką. A dzieci zwołują się do wspólnych zabaw. Ale owa zwyczajność niedzielnego poranka jest tylko pozorna; wkrótce okaże się, że echa wydarzeń dochodzących tutaj jakby z bardzo daleka znajdują swoje wyraźne odbicie i na podwórkach, i we wnętrzach domów, i życiu dużych i małych mieszkańców kamienic... Tak rozpoczyna się film Roberta Glińskiego zatytułowany „Niedzielne igraszki”. Pomysł miał Gliński naprawdę kapitalny: ukazać przełomowy moment w historii wielu krajów, w ich życiu politycznym, i także — społecznym, z perspektywy typowego warszawskiego podwórka, stanowiącego jakby mini-model polskiego społeczeństwa ze

Radzieckie przekłady PIW-u

OKAZJI 70 rocznicy Rewolucji Październikowej PIW wydaje książkę Wasilija Ardamatskiego pt. „Ostatni rok imperium”. Jest to literacki zapis funkcjonowania centralnego aparatu władzy w Rosji w przededniu Rewolucji 1917 r. Obok cara Mikołaja II występują w książce wojskowi, ministrowie, dyplomaci, bankierzy, przemysłowcy, przedstawiciele tajnych służb a także afe-rzyści i ewenturnicy z Rasputinem na czele.

Do wydarzeń 1919 r. barzo trudnego dla władzy radzieckiej, powraca

kamena

w książce „Nagi róg” Borys Piłniak, jeden z najwybitniejszych twórców prozy radzieckiej, niesłusznie represjonowany w latach trzydziestych. Książka ta wydana była u nas już przed wojną, a obecnie ukazuje się w nowym przekładzie Janiny Dziarnowskiej. Tłumacze się też wybór opowiadań III Frontu w nas dotychczas nie drukowanych, a wybranych ze zbiorów powstałych w latach dwudziestych i trzydziestych w których autor często powraca do wydarzeń związanych z rewolucją.

Z najnowsza historia Związku Radzieckiego związana jest „Księga blokady” Aieśia Adamowicza i Danilla Granina. PIW wydał też wybór opowiadań z lat 1919-20, w których odwzajemniał życie w obłożonym przez hitlerowców Leningradzie oraz wydał też część druga. Obiemuje ona trzy pamiętniki z tamtych dni spisane przez

nauczyciela-akademika, matkę dwojga dzieci, oraz 11-letniego chłopca.

Ukazała się nowa pozycja znanych autorów m. in. powieść „Nie wygra się z miłością” Wila Lipatowa wybór opowiadań „Kraina czerwona” Wasilija Szukszyna, a także wybór opowiadań Władysława Kondratiewa i powieść historyczna z kluczem do współczesności „Cesarski szaleniec” estonkiego prozaika Jana Kreesa.

W planach znalazło się także kilka głównych utworów należących do tzw. nurtu rodzimego, m. in. „Szarol” Czajnika Ajmatowa, „Ostatni pokłon” i „Smutny detektyw” Wiktora Astafiewa, powieść „Nocowała chmurka złota” Anatolia Prisywkina a także pochodząca z przełomu lat 1933-34 powieść „Nominacja” Aleksandra Beka i wreszcie „Doktor Zwaszo” Borysa Pasternaka ze wstępem Dymitra Lichaczowa.

A. F.

Tak było z „Krótkimi spotkaniami” (1967), przejmując opowiedzianą historią miłości, gdzie swoją pierwszą dużą rolę ekranową zagrał Włodzimierz Wysocki — aktor, poeta i piosenkarz, który ucieleśnił w tym filmie główny temat swojej twórczości — temat ludzkiej godności, odwagi i nonkonformizmu. Tak było ze scenariuszem „Uczcie się widzieć sny”, który Muratowa bez rezultatu „forsowała” przez dwa lata. Tak było z filmem „Długie pożegnania” (1971), który został odłożony „na półkę” i przeleżał na niej ponad piętnaście lat. Pojawienie się na ekranach w 1987 roku „Krótkich spotkań” i „Długich pożegnań” radzieckie społeczeństwo odebrało jako kolejny dowód przebudowy i polityki jawności.

Na XX Wszzechzwiązkowym Festiwalu Filmowym, który odbył się w Tbilisi w 1987 roku, „Długie pożegnania” otrzymały Wielką Nagrodę. A piętnaście lat temu, kiedy w tym samym Tbilisi odbył się V Wszzechzwiązkowy Festiwal, tenże obraz Muratowej w ostatniej chwili został wyłączony z programu konkursu.

Prawie siedem lat od chwili objęcia „Długich pożegnań” zakazem wyświetlania Muratowa spędziła w przymusowym przestoju. Oto jak sama o tym mówi: „Każdy człowiek znajduje się w jakiejś sytuacji życiowej każdy jest na coś »zaprogramowany«. We mnie ten program wprowadzono bardzo solidnie. Mogę być reżyserem i nikim innym. To forma mojego istnienia, mojego bycia na Ziemi. Nauczono mnie tego w Wyższej Szkole Filmowej w Moskwie (moim nauczycielem był uwielbiany przeze mnie Siergiej Gierasimow), a potem kontynuowałam naukę sama. I nagle trach! — wytrącono spode mnie tę podstawę — żaden z ciebie reżyser, spływaj stąd! Zaczęłam sama siebie namawiać: po co mam być reżyserem? Dlaczego nie żyć jakoś inaczej?”

Na szczęście dla siebie i dla nas Muratowej nie udało się siebie na-

mówić. Znalazła w sobie odwagę, aby nie zdradzić powołania. Nawiasem mówiąc, Muratowa nie lubi słuchać tego rodzaju rozmów: „Jaka tu odwaga? — wzrusza ramionami. — Po prostu człowiek nie może inaczej. Jak



Kira Muratowa

można nie pozostać wiernym sobie?”

Swoich poglądów Muratowa broni bez wyzwania, ze spokojną niewzruszonością. Ten, kto nie widział jej na planie zdjęciowym, nie może sobie wyobrazić, jakie pokłady energii, pasji twórczej i nieprzejednania kryją się w tej kruchej, niewysokiej kobiecie o bacznych spojrzeniu ogromnych ciemnych oczu, o łagodnym, prawie nieśmiałym sposobie bycia.

Wróćmy jednak do drogi twórczej Kiry Muratowej. Konflikt psychologiczny „Długich pożegnań” zbudowany jest na wzajemnych stosunkach: matka — syn. Nie znam innego utworu filmowego, w którym ta sfera została ukazana z taką bacznością i drobiazgową dokładnością. Leningradka Zinaida Szarko, grająca rolę matki, osiągnęła wyżyny aktorskiego mistrzostwa i w wielu scenach wstrząsa siłą swej interpretacji. Również temu filmowi przenikniętemu trwożną miłością do człowieka, zarzucono w swoim czasie „płytkość tematyczną” i „skłonność do ocerniania”...

W 1978 roku w „Lenfilmie” Muratowej udało się nakręcić film „Poznając białe światło” według scenariusza znanego prozaka Grigorija Baklanowa. Jest to film o budowie młodzieżowej; sama Muratowa uważa go za „bardzo romantyczny”. Tym razem los filmu był pomyślny. Ale cisza nie trwała długo. Oto wokół następnego obrazu Muratowej „Wśród szarych kamieni” (według powieści rosyjskiego pisarza Włodzimierza Korolenki „W złym towarzystwie”) znów rozpuściła się burza. Jeśli we wczesnych utworach Muratowej jej poetyckie widzenie świata opierało się na konkretnych życiowych i psychologicznych, to w filmie „Wśród szarych kamieni” obraz życia nabiera cech

surrealistycznej deformacji, wszelkie proporcje zostają naruszone. Centralnym tematem stają się losy ludzi, którzy wypadli z normalnego życia, biedaków i włóczęgów, którzy znaleźli schronienie w starych ruinach i grobowcach (akcja toczy się w przedrewolucyjnej Rosji). Syn sędziego, mały Wasia, ucieka z ojcowskiego domu, gdzie wszystko jest zatrute oddechem śmierci. Wraz ze swoimi nowymi przyjaciółmi, małymi obdartusami, znalazł się w podziemnych lochach, wśród „szarych kamieni”, które „wysysają życie”.

„Ten film — mówi Muratowa — miał mniejsze szczęście niż inne moje obrazy, które po prostu zamykano, ale nie cięto. A ten zaczęto ciąć. Kiedy dowiedziałam się o tym, pomknęłam z Odessy do Moskwy, do Kijowa. Oświadczyłam, że w takim wypadku usuwam swoje nazwisko z czołówki (teraz znajduje się tam nazwisko Iwana Sidorowa). Myślałam, że ich to powstrzyma, ale nie z tego. Kilka scen zostało wyciętych i zniszczonych”.

W ostatnim filmie Muratowej „Odmiana losu” — swobodnej ekranizacji noweli Somerseta Maughama „Bilecik” — bohaterka wygłasza taki monolog: „Mnóstwo sprzecznych ze sobą i wykluczających się nawzajem rzeczy cudownie mieści się we wszechświecie. Świat jest wielki i podoba mi się jego różnorodność. To tak jak ogród zoologiczny. Jedni w łusce, drudzy w igłach, trzeci goli albo oddychają w wodzie. Jedni jedzą siebie nawzajem, drudzy — trawę, czwartych w ogóle nie można zobaczyć naszym okiem — są tacy mali. I nie ma ani jednego takiego zwierzęcia, które byłoby zwierzęciem — wzorem. Tak samo ludzie, rzeczy, myśli...”

Wiktor Bożowicz

wszystkimi jego rozwarstwieniami — klasowymi, ideologicznymi, kulturowymi i majątkowymi. Więcej jeszcze: głównymi bohaterami swojego filmu, obserwatorami, a zarazem „mediami” tego, co się dzieje naokoło, uczynił Robert Gliński nie ludzi dorosłych, ale dzieci. To one bowiem reagują najszybciej na zachodzące wydarzenia, one najłatwiej poddają się różnorakiemu kształtowaniu i one też najboleśniej odczuwają zło dziejące się w świecie dorosłych.

W „Niedzielnym igraszku” (jakże coraz bardziej gorzko brzmi ten sielski, z pozorów, tytuł — w miarę rozwoju akcji filmu) gromada dzieci oddaje się swoim normalnym, codziennym zabawom charakterystycznym dla tamtych powojennych lat. Malcy wspinają się z małą złością po wysokich rusztowaniach, buszują po ciemnych, wilgotnych piwnicznych korytarzach, są żołnierzami Powstania Warszawskiego, i. in. niemieckimi żołnierzami dokonującymi egzekucji, naigrawają się z miejscowej „wariatki”.

No i, oczywiście, są w opozycji wobec jedynego na podwórku „grubasa”, zadbanego i porządnie ubranego Józia, syna doskonale zarabiającego i uhonorowanego licznymi orderami przodownika pracy; Józio ma na dodatek niedostępną dla innych strzelbę-wiatrówkę, i to wobec niego dopełnia miary zawiści ze strony dziecięcej społeczności. Syn miejscowego dozorczy jest dzieckiem AK-owca, odznaczonym Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych; ojciec Józia nosi na pierśsi inne odznaczenia. Ale ta różnica jest chyba najmniej znacząca dla dzieci. Zresztą i tak wszystkie wiedzą, że matka Józia chodzi przyszykownie w każdą niedzielę do kościoła, a wsiadają w tej mieszkaniu widać portret Stalina mieści, na odwrotnej stronie, tej samej wielkości obraz Matki Boskiej...

Józio, trochę mitoman trochę marzyciel, no i dziecko z kompleksem „grubasa” (czyli: „obcego”) ma wyjechać, w przedstawione w filmie niedzielne przedpołudnie, do sanatorium w Rabce. Ale żeby wreszcie naprawdę raz, chociaż zaimponować rówieśnikom, przypływający na piersiach wszystkie obojętne i świadczą, że został wydelegowany na... pogrzb Stalina i właśnie wyjeżdża do Moskwy. Oczywiście budzi to powszechną zazdrość. Ale Józio przełajnował: do odzrodzić ojca dodał jeszcze akowskie krzyże wypożyczone od syna dozorczy...

I tutaj właśnie zaczyna się główne reżyserskie przesłanie „Niedzielnego igraszka”. Moment, w którym zło, obecne w świecie dorosłych, wkracza teraz również w świat społeczności dziecięcej. Bo oto wychowawczyni, mająca zabrać Józia do Rabki, dojrawszy na jego piersi także „wrogie” odznaczenia, zawiadamia wiadomych panów w szarych jesionkach, a ci rozpoczynają dochodzenie, zaś w jego ramach — także rewizję w domu Józia, znajdując m. in. kompromitujący „dwustronny” obraz, Józio, postawiony początkowo przez nich na czele dziecięcej gromady (naprawdę po to chyba, żeby nie przeszkadzał w rewizji i nie miał czasu na zawiadomienie matki), zostaje wkrótce (gdy już nie jest potrzebny) „zdjęty” ze swojego „prestżowego stanowiska”. Jego rodzice natomiast zostają zesztawiani, a on sam jedzie teraz nie do Rabki, lecz do Domu Dziecka...

Nie to jest jednak dla Glińskiego najważniejsze. Zło i przemoc rodzi reakcję: także zło i przemoc; agresja — agresję — wydaje się mówić reżyser. Zło tym bardziej się potęguje, gdy pada na niewinną glebę, kiedy jest zaszczepiane na organizmie młodym... Gromada dzieci, biegająca na początku filmu beztrudno po rusztowaniach, w jego finale doprowadza do zamordowania ulubionego kotka, a wreszcie — w okrutny sposób (choć może bez pełnej świadomości swego czynu) zagrzebuje w stercle piasku „zabójczynię” zwierzątko.

„Niedzielne igraszki” są nakręcone w sposób dynamiczny, z wielkim wyczuciem reżyserskiego warsztatu (choć reżyser jest człowiekiem młodym, urodził się w 1952 r., a film powstał w roku 1983), a mali aktorzy wywiązują się doskonale ze swoich ról, co, znowu, jest zasługą reżysera. Nie dajmy się, że film otrzymał w ubiegłym roku „Wawrzyn 86”, przyznany przez tygodnik „Radar” w roku 1987 — Grand Prix na festiwalu „Młode Kino Polskie 86” w Gdańsku, a podczas wrześniowego, XII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych odbywającego się w Gdyni, przynależał mu akredytowanie tutaj dziennikarze wyróżnienie (nagroda dziennikarzy przypada „Matce Królów” Janusza Zaorskiego).

Są jednak w „Niedzielnym igraszku” różne potężne i dyskusyjne miejsce o jakich nie można tutaj nie wspomnieć.

Należy może zacząć od tezy, wypowiedzianej przez samego reżysera, że jego film jest pewnym uogólnieniem na temat rodzącego się i rozwijającego się zła, agresji, przemocy, ucisku, manipulowania ludźmi. Ze nie należy traktować „Niedzielnego igraszka” jako filmu zdecydowanie zakotwiczonego w określonym czasie i miejscu, i że wobec tego wolno mu być sobie pozwolić jako reżyserowi na pewne dowolności i odstępstwa od realiów z początku lat pięćdziesiątych.

Ale w którymś miejscu owa „dowolność”, zmierzająca do filozoficznego uogólnienia, zaczyna rzutować na błędne wyobrażenia widza o realiach okresu, który film bierze sobie jednak nader wyraźnie za punkt wyjścia. Oczywiście „podwójny obraz” z mieszkania rodziców Józia można, i trzeba chyba, odczytywać jako wielką metaforę. Metaforycznie można odbierać „zbitkę” orderów — tych „ludowych” i tych „akowskich” — na jego piersi. Allicji dziwnym mi się wydaje, że reżyser „uogólnia” swoje przesłanie, ubierając np. jednego z chłopców w mundur harcerski czy wymagając od charakteryzatorów, aby „przerabiali” małych aktorów na umorusane niczym nieboskie stworzenia, czupiradła, a także, by dzieci w niedzielne przedpołudnie harcowały po całym podwórku wraz z przyległościami.

Po pierwsze, nikt wówczas mundurka harcerskiego nie nosił (na co zresztą zwracał już uwagę inni recenzenci), bo skautowe harcerstwo zostało przed kilku laty zlikwidowane, a założenie harcerskiej chusty, sznura i lilijki spowodowałyby na pewno poważniejsze konsekwencje niż przypięcie na piersi Virtuti (notabene skąd ów „problem”? — wszak krzyże Virtuti Militari, wprowadzone z orłem bez korony ale kto by na taki drobny szczegół zwrócił uwagę, przyznawano także podczas wojny w ludowym wojsku). Po drugie — żadne z dzieci w jako tako szanującym się mieście, w 1953 r. nie byłoby w niedzielne przedpołudnie wypuszczone nie umyte na podwórko czy na ulicę. Po trzecie — w niedzielne przedpołudnie dzieci — z wiatrem naprawdę bardzo wówczas niebezpiecznych — były prowadzone przez rodziców za rękę do kościoła. A starsze chodziły tam z własnej nieprzymuszonej woli, a także dlatego, że oddłoby się to na ich stopniu z religii (nieod 1933 r. stądnie te — o ile pamiętam — nie były już uwidaczniane na świą-

dektwach szkolnych). Już nie mówiąc o takich „drobnostkach” jak ta, że na początku marca jest jeszcze w Polsce zima i nikt nie wyszedłby wówczas z domu w krótkich harcerskich spodenkach i z gołymi nogami. I proszę mi także pokazać harcerza, który brałby udział w dręczeniu czy choćby w dyskusji na temat dręczenia jakiegokolwiek zwierzęcia? (Na co zresztą zwrócił uwagę „Arcitenens” na łamach tygodnika „Film”).

Te wszystkie „drobne” na pozór szczegóły są, w istocie rzeczy, wcale nie takie drobne dla wizerunku konkretnego społeczeństwa; konkretnych czasów i ja to odbieram wcale nie jako uzasadnione „dowolności”, założone celowo przez reżysera, ale po prostu jako brak z jego strony pełnej wiedzy o tamtych realiach. A jeszcze: któreż to dziecko zwracało się w owych czasach do drugiego obraźliwie: „ty pedale”? (Co również powtarzam za redaktorem „Arcitenensu”, bo może mógłbym być posądzony o plagiat — przyp. M. D.). A że tak mówią do siebie dzisiaj? Czy wkładanie postaciom osadzonym w 1953 r. do ust tego „współczesnego” zwrotu — to jeszcze jeden sposób na tezę „uogólnienia”?

Robert Gliński zrobił film bardzo interesujący, ambitny i taki, „który się ogląda”. Film głęboko — nie wątpię w to — zaangażowany w zawile sprawy naszej najnowszej historii. Ale chwilami zbyt staral się epatować widza, za bardzo nim „wstrząsnąć”. Dlatego nie mogę traktować filmu jako dzieła w pełni dopracowanego i przeżytego przez reżysera. Mimo wszystko jednak „Igraszki” Glińskiego to efektowny, z talentem zrobiony, szkic filmowy. Ale jeszcze nie dojrzały obraz namalowany przez Janusza Zaorskiego, twórcę „Matki Królów”. Owego filmu, który można przecież odczytywać także jako wielkie uogólnienie.

M. D.

PS. Ostatnio, na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mannheim (RFN), który odbył się w październiku br. „Niedzielne igraszki” otrzymały aż cztery nagrody. Jury międzynarodowe otrzymało filmowi „Złoty Dukak” orazwał on także nagrodę FIPRESCI, nagrodę Jury Uniwersytetów Ludowych RFN oraz Międzynarodową Katedra Nagrodę Filmową.

Łapówka dla bibliotekarki

STARZY przyjaciele zabrali mnie ze sobą w plener. Do lasu, tam gdzie wik pożali babcię. — Nigdzie tak nie wyciszysz jak w głuchym lesie — tłumaczyli. — Utlenisz się, a świat powróci do właściwych proporcji.

Może i mieli dobre intencje, ale wzięli ze sobą tyle półlitrówek, że nawet w mateczniku odpocząć trudno było. Nie, nie mieli nic wspólnego z alkoholizmem, dlatego może aż tak się zaopatrzyli. W każdym razie do pomocy zaprosiliśmy gospodarza, mieszkańca jedyne go domku w okolicy. Najbliższy sąsiad zaszły się parę kilometrów dalej, po drugiej stronie jeziora.

Starszy pan siedzi, potakuje, słucha, o czym gadamy, i skąpo zakasza, żeby nie uchodzić za nachalnego obłątucha, bo to nawet przy piwie nie wypada. Z wyglądu typowy dziadzia, ubrany był jak, pocztowy do frajerstwa slegma. tyczny, ale sokoło oko dowodzi, że chłop z fasonem. Nagle ma jakby dość naszego mądrzenia się i tak powiada:

— Widzę, że tu się wam podoba. Nie tyko wam. Wiecie, ile tu do mnie narodu ściąga? Faceti z telewizji są co rusz.

Gospodarz wymienia nazwiska, których nie chce tu powtarzać, żeby nie mnożyć plotek na piśmie. Zresztą o jednym tylko redaktorze się wyraża, bo tamten ciągle przyjeżdża z nową dziewczyną. Lata mijają, facet co roku starszy, wpierw łysawy, potem siwy na dodatek, a dziewczyny coraz młodsze. Tak próbuje czas cofnąć z babą pod rękę.

— Zachodzą do mnie czasami oglądać telewizję — mówi gospodarz poblazliwie. — Niech oglądają. Nie wymyślił się. Zresztą dla mnie telewizja nie ma znaczenia. Ja, panie, lubię książki. Wprost przepadam. I wódki może nie być. Kiedy wybieram się do miasta, do biblioteki, biorę jajka, grzyby, węgorki i wiozę paniom bibliotekarkom. Poza tym

— wyjaśnia skromnie — tyle najadłem się grzybów czy węgorki, że to już dla mnie nie jest jedzenie. W gardle mi stoi.

Przyznam się, że zaskoczył mnie tym oświadczeniem, bowiem nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by szedł z łapówką do biblioteki. Zresztą to nie była łapówka klasyczna i nachalna, a prezent dla miłych pań, które zawsze starały się pić, żeby miał ciekawe książki.

Potem zmieniliśmy temat dyskusji. Gospodarz dużo mówił o drugiej wojnie, która nieźle sobie z nim poigrała. Jego życiorys zasługuje na grubą powieść, a nie mały felieton. Do książek jednak znowu powróciliśmy w naszej rozmowie.

— Ci z telewizji zawsze mi przywożą książki w upominku — powiedział, jakby nagle sobie coś przypomniał, a o tych facetach z telewizji mówił wciąż jak o najbliższych sąsiadach.

— My też przywieźliśmy — powiedziałem.

— Jasiu — szepnął kumpel na noczku. — Tylko nie podrzucaj mu swoich książek.

Nie musiał szeptać. I tak nigdy nie przyznał się bez potrzeby, że jestem płamienny. Nie chodzi tu o przesadną skromność czy ukrytą megalomanię. Po prostu niektórzy zaczynają się nadymać jak do fotografii. Nie dziwię się, każdy szuka dla siebie panegirysty. Ale ten wspaniały dziadzia z głuchego lasu, wożący upominki dla bibliotekarek, zastąpił na panegiryk. Od razu widać było, że z dobrego rodu pochodzi, z rodu ludzi autentycznych. Wpierw czekał cierpliwie, kiedy się przestaniem mądrzyć, dowieklować i popisywać, a potem tak pokierował rozmową, że jest co wspominać, bowiem nawet w głuchym lesie najciekawsze są spotkania z ludźmi.

Janusz Olczak

Andrzej Bien

WYBACZ, EDEK

na Rynku Starego Miasta w Warszawie

Stachurze

Pan Przewodnik opowiada z przejęciem dzieciom z wycieczki szkolnej o bazyliżku pod Bazyliżką

niektóre dzieci — te grzeczniejsze — otaczają przewodnika ciałym koferem tak ciałym że nie są w stanie zobaczyć ani bazyliżka ani Bazyliżka

ani zegara odrestaurowanego sam pamiętam kiedy

ani w ogóle niczego

inne dzieci rozlażąc się po spiralach

demonstrują iż mają to wszystko generalnie w dupie

jest pięknie

gra katarzynka więc dwaj chłopcy dla draki

próbują tańczyć walczyka

jest pięknie

piękne są odpicowane cudzoziemki fotografujące się na tle cisawych koni

piękny jest Rynek

październik

i jest piękna pogoda

jest pięknie

jak na Archidiakońskiej w Lublinie

tak jak w Krakowie pod hałdami smogu

pięknie tak jak na Starym Rynku w Warszawie

jest pięknie

albowiem pięknie pogodnym jest być

jest pięknie

bo doprawdy jest piękna pogoda

jest pięknie

bo nie warto pijanym jest być

żądzą stawy pieniędzy czy wina

jest pięknie

bowiem pruje się fest

ekspedientka wspaniała dziewczyna

jest pięknie

bowiem piękny jest świat

i muzyka powtarza się w echu

jest pięknie

i nie warto przejęcia jest nic

bo i śmierć także warta jest śmiechu

Miodowy głos Whitney

WHITNEY Houston ma powody, by uważać się za gwiazdę estrady, choć liczy dopiero 24 lata i ma niewielki, zaledwie dwuletni staż estradowy. Rzadko kto jednak w tym wieku może pochwalić się siedmioma platynowymi płytami, trzema nagrodami Emmy i sześcioma Grammy. Pierwszy album, zatytułowany „Whitney Houston”, rozszedł się w 15-milionowym nakładzie. Drugi „Whitney” cieszy się jeszcze większym powodzeniem. Sprzyjają temu piękne melodie (z „I Wanna Dance With Somebody” na czele) i niezwykle głos — aksamit, który umie modulować w nieskończoność, przechodzący w jedwab i płótno z juty.

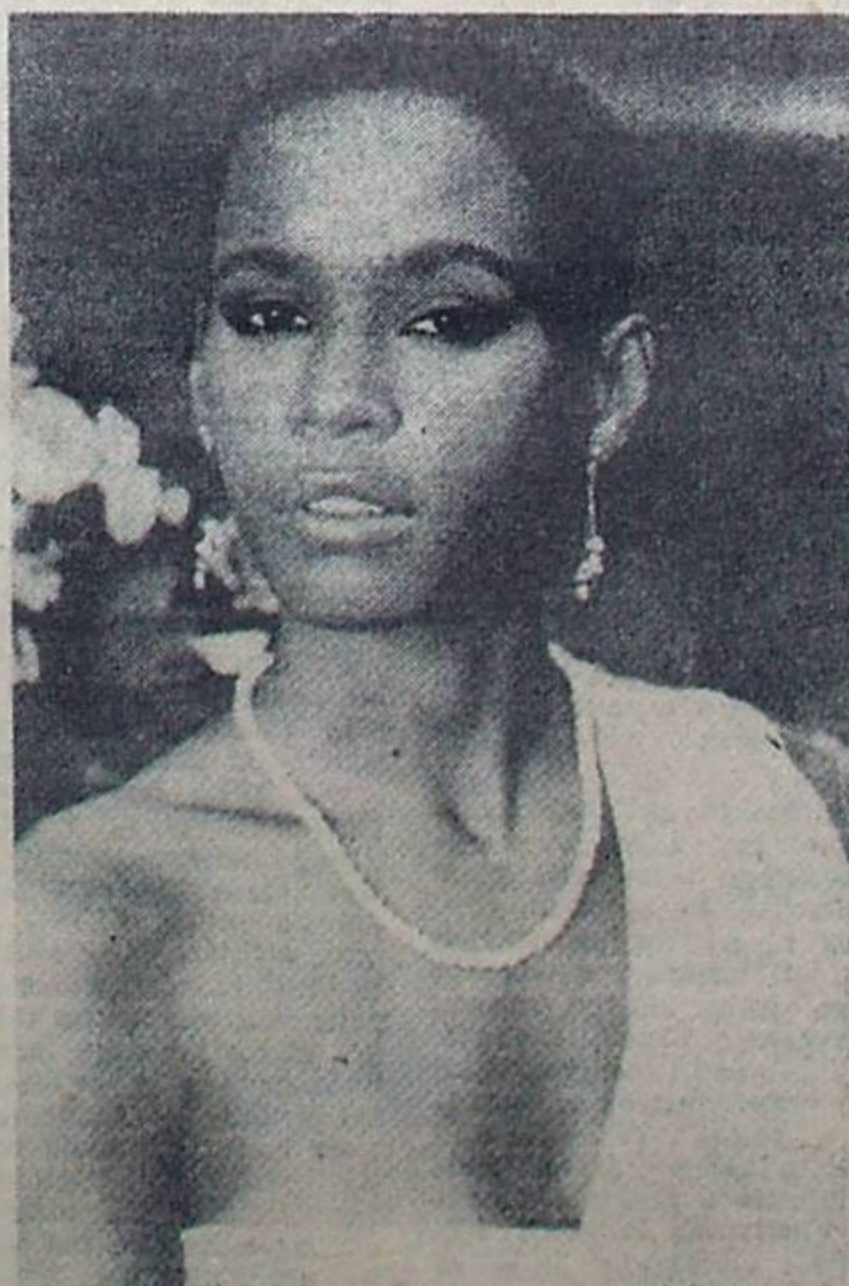
Wspanialej dziewczynie z New Jersey nie wróciło się w głowie od nadmiaru szczęścia. Nadal pozostała skromna, delikatna i nieśmiała. Wolne od zajęć chwile spędza w domu, a nie na Hawajach. Unika wścibskich dziennikarzy i skandali towarzyskich. Świetnie czuje się w wolnym stanie i nie zamierza go szybko zmienić.

Uważni kronikarze jej sukcesu twierdzą, że powodzenie zawdzięcza rodzinie. Śpiewać uczyła ją matka Cissy Houston — założycielka legendarnego kwartetu Sweet Inspiration. Cissy, uważana za żywą legendę muzyki gospel, zaszczerpiła córeczkę pasją śpiewania. Edukację kontynuowały ciotki: Dionne Warwick i Aretha Franklin. Próby pod okiem takich znakomitych artystów soul musiały zaowocować pozytywnym rezultatem, tym bardziej, że dziewczyna miała zmysłowy głos i wyjątkowe wyczucie.

Pierwsze występy młodej Nitty odbywały się w kościele. Kiedy czuła się pewniej w interpretacji soulowych fraz, podjęła występy w nocnym klubie. Tam dostrzegł ją producent Aristy, proponując na początek udział w chórkach znanych wykonawców. Sprawdziła się w tej roli wybornie, skoro sam Clive Davis (szef Aristy) zajął się osobiście promocją słodkiego głosu Nitty. Kosztem 270 tysięcy dolarów wyprodukowano jej pierwszą płytę. Przedsięwzięciu patronowali fachowcy tej klasy, co Narada Walden i Michael Masser (firmujący nagrania Diany Ross). Płyta przyniosła mieszankę sweet z czarnym funky, wywołującą ekstazę słuchaczy. O jej wykonawczyni pisano w tonie zachwyty.

W publikacjach podkreślano urodę wokalistki i jej wielki głos, wywołujący jednocześnie uśmiech i

lzy. Whitney zyskiwała wiele swobodą poruszania się między pop, gospel i soul. Trasa koncertowa, jaką zorganizowano jej z okazji debiutu płytowego, okazała się, rzecz jasna, sukcesem. Zresztą nie tylko estradowym, bo słodką urodą Whitney zainteresowali się dyktatorzy światła mody. Przybyło



Repr. Adam Trochimiuk

jej jeszcze jedno zajęcie — modelki. Oddała mu się z pasją, lecz na krótko. Liczne podróże i sesje fotograficzne odsuwały ją od ukochanej muzyki, więc zrezygnowała z glorii najpiękniejszej dla estrady. Prawde mówiąc, mimo niezwyklej muzy-

kalności i mocnego głosu, nie czuje się jeszcze na niej zbyt pewnie. Ma świadomość braków, których nadrobienie uczynić z niej może wyborną wokalistkę. Przed światowym tournée, któremu przewodniczyć będzie motto „Moment Of Truth”, wiele próbuje pod okiem matki i obu ciotek. Nie przekonują ją zapewnienia, że o sukces trasy nie musi się wcale obawiać. Zanim istotnie stanie się następczynią Diany Ross, musi się jeszcze sporo nauczyć, poznać rozmaite sekrety estrady.

Przed gorąco przyjętym koncertem Whitney w „Marcus Amphitheatre” w Milwaukee rozmawiała z nią Rosa Scheinwerfer z zachodniemieckiego miesięcznika „Popcorn”. Rozmowa wydała mi się na tyle ciekawa, że proponuję czytelnikom zapoznać się z jej fragmentami:

— „Śpiewa pani tylko o miłości. Czy nie ma miejsca na co innego?”

— Nie, miłość jest dla mnie wszystkim.

— Pisze się dla pani piękne songi o miłości, które interpretuje pani z dużym talentem. Czy przeżyła pani już kilka miłości? Doświadczenie jest dla interpretacji dość ważne.

— Rzeczywiście ważne, ale ja go nie mam. Historie, o których śpiewam z przekonaniem, tkwią w głębi mojego umysłu. Moja miłość jest osobista i pochodzi z najgłębszych części mnie samej. Nie zwykłam jednak mówić o tym publicznie.

— Gdzie nauczyła się pani tak wybornie pannać nad głosem?

— Niektórzy nie wierzą, że w kościele. Jestem osobą głęboko religijną. Kościelny chór był moim testem do śpiewania. Tu przekonałam się, że cokolwiek potrafisz. Gospel pomógł mi wyrazić uczucia i najintymniejsze sekrety. Nauczył mnie posługiwać się głosem, oceniać jego siłę i doceniać wartość wykonywanego tekstu. Marzyłam, aby dotrzeć do ludzkich serc, i to mi się udało dzięki muzyce. Dziękuję Jezusowi za wszystko, co mi dał.

— Podobno ma pani kolorowe sny?

— Snię wyłącznie w kolorach i dlatego wiem, jaką suknię mam ubrać następnego dnia. Od czasu mojego związku z salonami mody przykładam ogromną wagę do wyglądu. Ludzi ciekawi bardzo, jak ubiera się popularna piosenkarka.

— Czy tak szepczą jak pani osoba potrafi śpiewać całym ciałem?

— Odpowiedź przyniesie koncert. Przy muzyce, którą proponuję, trudno pozostać obojętną.

Whitney zrobiła dopiero pierwszy krok do światowej kariery. Myślę, że następne będą jeszcze ciekawsze.

Istvan Grabowski

Jako zwyrodnialec

UPRAWIAĆ krytykę sztuki to znaczy występować w roli masochistycznego zwyrodnialca. W pewnym czasopiśmie polskim z końca minionego stulecia znalazłem kiedyś ilustrację z wizerunkiem stada baranów na pierwszym planie, które w intencji autora symbolizować miały oczywiście krytyków.

Panowie, którzy w okresach inkubacji impresjonizmu czy kubizmu przypięli do tych fenomenów nazwy prześmiewcze i w ogóle pokpiwali z takiego malarstwa, do dziś nie mają spokoju w mogiłach, obracani falami drwiącego śmiechu wielu pokoleń miłośników nowej sztuki, która wszak zwyciężyła i wycofana dziś bywa na miliony dolarów. Jarosław Iwaszkiewicz zauważył niedługo, że głos krytyki przypomina chwalonemu przezeń artyście śpiew słowika, natomiast słowa przygany — wprost przeciwnie, chrząkanie świni. Jak widać, zoologiczne porównania mają w tej branży długą tradycję.

Plastyki chętnie poplują na krytyków, ale najchętniej nie przyjmują do wiadomości ich istnienia, robiąc to zresztą w sposób przewrotny, w masce zalawionej od żalu. Tak więc co pewien czas bije w niebo polskie lament, że krytyka skonała, o rany, jaka szkoda, kto nas teraz będzie interpretował, lansował, wspomagał mądrą radą! Ale spróbuj, naiwny człowieku, wziąć na serio te apelacje, zacznij wyjaśniać jakiemś malarzowi, że płodzi tandetę, no to wtedy dopiero przekonasz się, w czym rzecz, o jaką krytykę chodziło! Przekonasz się, że artyści i pacykarze, zawodowcy i amatorzy, że całe to obywatelstwo wymaga od krytyka jednego: chwalby — im większej, tym lepszej, choćby dyktanckiej, wręcz głupiej.

Przed laty ośmieliłem się zauważyć publicznie, że pewna wystawa

malowideł dziecięcych ujawnia daleko idącą ingerencję pedagogów w tę rzekomo spontaniczną zabawę wychowanków, no i w rezultacie, ku memu milemu zdumieniu, zostałem uprzejmie zaproszony na spotkanie z nauczycielami wiadomego przedmiotu. Przypuszczając, że szacowne grono znakomite jest wymiany opinii, punktualnie przybyłem na umówione miejsce, gdzie szef zgromadzenia, sam zresztą malujący, ulokował mnie w honorowym punkcie sali, przy katedrze na podium, i natychmiast... sponiewierał słowem karzącym, jak święty M. diabła! To nie była polemika z moimi ocenami, to był odwet w szkolnych dekoracjach.

Tarzano bywałem w gazetach i periodykach, otrzymywałem anonimy, w których oprócz refleksji nad stanem mej głowy znajdowały się np. sugestie, że w Radomiu romansowałem na zapluskowanej kanapie z rodzonym bratem wybitnego pisarza emigracyjnego, na domiar wszystkiego, o zgrozo, popijając nalewkę na wiśniach, przygotowaną przez gospodarza... Nie powiem, popijałem, sympatycznie gawędząc sobie ze starszym, wielce kulturalnym szlachcicem, ale to wszystko, co „wyrabiałem” w tym gościnnym domu.

Byłem też bohaterem donosów i pism protestacyjnych, kierowanych do władz politycznych Lubelszczyzny i do redaktora naczelnego „Kamienia”. Pewien grafik ubolewał nad nieuctwem „krytyka” i podpowiadał, że niewątpliwie jest on wrogiem ludu i szmatą w ogóle. Bo cóż innego można powiedzieć o faciecie — kontynuował nadawca — znajdującym zboczony upodobania w przychylnym recenzowaniu obrazów malarza F., który często stosuje brązy i czernie, zatem barwy właściwe, jak powszechnie wiadomo, dla duszy mrocznej, występnej. Najciekawsze, że temu grafikowi żadnej krzywdy nie wyrządziłem, raz tylko wyraża-

jąc nieufność co do jego wartościowania niektórych faktów z dziejów plastyki lubelskiej.

Początkowo denerwowały mnie takie pomówienia i groteskowe insynuacje, ale z czasem przywykłem do nich, w końcu — zacząłem nawet cenić. Były to bowiem jedyne żywe i autentyczne reakcje na moją publicystykę, demonstrowane przez ludzi jakby serio traktujących choćby „Okolice sztuki”, które dość regularnie wypełniałem tekstem od 19 lat.

A cenię owe pohukiwania dlatego, ponieważ stanowią krzepiące odstępstwo od powszechnej w Polsce praktyki ignorowania opinii i postulatów krytyki artystycznej przez środowiska twórcze. Jest to nasza krajowa specjalność, niebywała, bo świadomie kształtowana postać stuporu, z którą nie zetknąłem się w takich interesujących przecież krajach, jak np. Francja, RFN, USA czy Związek Radziecki, gdzie wszystkie ważne kwestie życia sztuki rozstrzygane są z udziałem krytyków, a recenzja, przykładowo, w dzienniku „New York Times” otwiera malarzowi drogę do kariery. Nie ma co się śmiać, wiadomo, „Kamena” nie „NYT”, niż podpisany nie umywa się do Radcliffe’a, Perrault’a, Oliv’y czy Barbary Rose, ale czy publikacje o problematyce artystycznej, zamieszczane w takich cenionych u nas pismach, jak „Polityka” lub profesjonalny „Projekt”, mają realny wpływ na indywidualną pozycję artystów w hierarchii kultury?!

Jako krytyk debiutowałem 15 listopada 1962 roku, ogłaszając w „Kamieniu” tekst „Van Gogh bliski”. Ogółem w ciągu minionych 25 lat opublikowałem siedem ksiązek oraz prawie 1100 artykułów, felietonów, recenzji, z czego większość poświęcona była sztuce współczesnej. Wyrażałem swoje opinie wprost, bez owijania w muśliny eufemizmów — z największym bodaj przejęciem obserwując sam proces powstawania i sensy dzieła sztuki oraz jego żywot społeczny. Dlaczego? Równoległe z krytyką artystyczną uprawiałem reportaż, publicystykę o tematyce społecznej, kulturalnej i politycznej, okazjonalnie pisałem i drukowałem opowiadania. Moją postawę uformowały więc nie tylko studia, wystawy plastyczne i odpowiednie lektury, ale również doświadczenia zebrane podczas delegacyjnej tułaczki po wsiach i prowincjonalnych miasteczkach, po fabrykach, spółdzielniach produkcyjnych, klubach „Ruchu”, domach kultury i szkołach

ulokowanych w rozpadających się zabudawkach architektury. To było samo życie, które w nieszczęściu czy radości odwoływało się do znaków jakości tam ułożonych estetycznie, traktując je nie rzadko jako realną siłę sprawczą lub choćby pośredniczącą w dialogu z losem.

Po takiej edukacji trudno jest zrozumieć kierków, którzy chcieliby przytknąć sztukę w laboratorium z kości intelektualnego spekulanta.

Fakt, popełniłem niejedną błąd i niejedną problem unurzalem w płasku uproszczenia. Zdumiewające jednak, że za takie „numery” nader rzadko spotykała mnie słuszna reprimenda. Częściej i z większym animuszem próbowano natomiast przywłaszczyć sobie tytuł mej stałej rubryki w „Kamieniu” oraz książki: „Okolice sztuki”. Próbowała tego centralna telewizja w programie II, a ostatnio — „Kurier Lubelski” co stwierdzam z zakłopotaniem i melancholią, albowiem mam jeszcze w pamięci dobre lata współpracy z tym dziennikiem (i ze „Sztandarem Ludu” w okresie, kiedy szefem działu kulturalnego był liryczny mistrz, Zygmunt Mikulski). Telewizja uznała moje prawo własności do wspomnianego tytułu, wycofała odpowiednią planszę...

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że ta cała moja robota nie miała liczącego się wpływu ani na sztukę, ani na strukturę ruchu artystycznego. Wychodzi na to, że artykuły oraz książki (kolumny w Wydawnictwie Lubelskim i innym edytorom) pisałem głównie dla czytającej publiczności, dla kilkunastu zaprzyjaźnionych lub wrogich mi artystów i dla własnej, prywatnej satysfakcji. W końcu przyjemniej jest stukać na maszynie, niż kamieniem tłuc na drodze...

Nagadałem tu nieco na artystów, ale myślę, że mi wybaczą ci wszyscy wielcy, średni i karzełkowaci: malarze, graficy, rzeźbiarze, performerzy, akcjonści, minimaliści i konceptualiści. Wiedzą przecież, że bez nich byłbym jako ten pejzażysta, któremu wylupiono oczy.

A nagadałem dla porządku, by nie uchybić własnej naturze i dać do zrozumienia, że po prawdzie bardziej gustuję w sadomasochizmie, niż w roli jednostronnie dręczonego zwyrodnialca.

Ireneusz J. Kamiński

Telewizja po lubelsku

Dokończenie ze str. 5

riera Województw” — jechał do „centrali” telewizyjnej przy ul. Woronicza także lubelski prezydent, zapowiadający nasze „okienko”.

Kiedy Lublin otrzymał pierwszy stół montażowy, sytuacja poprawiła się o tyle, że po wywołaniu w stolicy filmów przywoziła je do Lublina warszawska montażystka i materiały montowano na miejscu.

W okresie TKW rozpoczęli w lubelskiej redakcji telewizyjnej działalność: Krzysztof Karman Jeremj Karwowski, Marek Borowik; pracujący pod okiem red. Tadeusza Chwałczyka. Pierwsi kamerzyści to: Bartek Wieczorek, Szczepan Adamiuk, Tadeusz Słowiński i Maciej Rybicki. Pracowali oni już głównie na sprzęcie elektronicznym. Rybicki został później realizatorem dźwięku, Wieczorek — realizatorem obrazu (jego umiejętności w tym względzie mogliśmy ocenić podczas koncertów ostatniego festiwalu piosenki w Sopocie).

Po doprowadzeniu do powstania „Panoramy” trudności wcale się nie skończyły. Przeciwnie, wzrosły. Początkowo „Panorama” opierała się na technice mieszanej: z jednej strony

wóz reporterski mercedes, będący — ze względu na swoje wyposażenie — jakby miejscowym „studium telewizyjnym” służył do realizacji materiałów studyjnych, robionych na miejscu, ale również wyruszał często w teren, z drugiej — posługiwano się dalej klasyczną filmową kamerą, z „tradycyjną” taśmą filmową. Słowem elektronika krzyżowała się z kinem, co powodowało nie tylko komplikacje natury technicznej, ale także estetycznej! Ponieważ posiadano tylko czarno-białą taśmę filmową powodowało to, że kolorowy, pochodzący z elektronicznego zapisu obraz programu był usiany czarnymi, filmowymi „latami”.

Dzisiaj mercedes znajduje się w remoncie, a ekipy reporterskie „Telewizyjnej Panoramy Lubelskiej” posługują się lekkimi, przenośnymi kamerami telewizyjnymi zasilanymi z akumulatorów. Dopóki ich jednak nie było, co poniedziałek wyruszano mercedesem w długie, dwu- lub trzydniowe trasy wiodące drogami województw — lubelskiego, chełmskiego i zamojskiego, prowadząc życie koczownicze. Czasami olbrzymi, ciężki wóz utykał na bocznych drogach zdarzało się też że w małych wioskach „siadało”, i tak

już zazwyczaj niskie napięcie linii elektrycznej, co powodowało że pracować można było tylko przy pomocy jednej kamery.

W „normalnych”, warszawskich warunkach telewizyjny wóz reporterski robiący jakiś temat ma jeden dzień na instalowanie się, drugi na zdjęcie, trzeci — na rozinstalowanie się i powrót do bazy. W warunkach lubelskich realizatorzy „Panoramy” potrafili w ciągu jednego dnia przeprowadzić całą tę trzydniową operację — nawet siedem razy! Ruszała zresztą wówczas w teren cała karawana: na przedzie mercedes, za nim towarówóz żuk z dodatkowym sprzętem technicznym, a dalej — samochód osobowy, bo przy bardziej skomplikowanych zadaniach ekipa telewizyjna nie była w stanie pomieścić się w wozie reporterskim...

Teraz, po wprowadzeniu reporterskich kamer VHS, w miejsce ekipy liczącej jedenaście lub dwanaście osób, wyruszają w teren lekkimi samochodami osobowymi dwa zespoły reporterskie, każdy składający się z dziennikarza, operatora, asystenta operatora i kierowcy. I dlatego takie tematy, jak np. pożar szpitalnego magazynu w Lublinie, można nakreślić „od ręki”. (Dawniej w podobnych wypadkach ekipa telewizyjna osjałowała się na ogół na miejscu wypadku, gdy strażacy kończyli już zwiąd węze...).

Przy zastosowaniu nowej techniki i nowych urządzeń można reportaż z takiego pożaru wprowadzić jeszcze tego samego dnia do najnowszego wydania „Panoramy” właśnie dzięki przejściu z zapisu na elektronicznej taśmie dwucalowej i z ogromnych, ciężkich kaset magnetowidowych (wielkości średniego kanistra na benzynę) na lekką sprzęt kasetowy oraz

kasetowe „montażówki”. Stosowana teraz kasetka telewizyjna ma wielkość szkolnego piórnika. Zarejestrować można na niej sto osiemdziesiąt minut programu. To znaczy dwa razy więcej niż na poprzednio używanej!

Jeszcze do niedawna realizatorom „Panoramy” utrudniał prace brak odpowiedniej aparatury do transkodowania zapisu w systemie PAL na stosowany w Polsce, przy emitowaniu programu, system SECAM. Dalej więc trzeba było jeździć do Warszawy. Tytułem, że z gotowym już w całości przygotowanym w Lublinie programem, aby tam transkodować, czyli innymi słowy — zmienić system zapisu elektronicznego. Po otrzymaniu przez Lublin własnego transkodera i korektora błędów czasowych problemu tego już nie ma.

I co jeszcze?

To, że posiadane obecnie przez lubelski ośrodek telewizyjny kamery reporterskie i wyposażenie montażowe, to... wysokiej klasy sprzęt amatorski. Skądinąd, doskonale pracujący. Wrotce jednak, prawdopodobnie za kilka miesięcy, „Panorama” całkowicie „przeстрои” się na lekki sprzęt profesjonalny.

I wówczas, być może nawet jeszcze w tym roku, zaczniemy oglądać „Telewizyjną Panoramę Lubelską” dwa razy w tygodniu.

A w ciągu najbliższych pięciu lat może nawet codziennie.

Czego „Panoramie”, telewizjom orz sobie samemu — życzy

Mirosław Derecki

kamena 9

Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (7)

POKOI nie trzeba było opalać. Lato w Tadżykistanie trwa długo, zima przypomina naszą wczesną jesień, temperatura prawie nigdy nie spada poniżej zera. Śnieg widziałem bodaj dwa, trzy razy w ciągu całego pobytu Suchy, poźwrotnikowy klimat dawał się Polakom we znaki. Deszcz tygodniami nie zraszał popękanej ziemi, a przecież rośliny bez wilgoci więdną, życie zamiera, tutaj zaś — gdzie sięgnąć okiem — złociste lany pszenicy, wybujałe nacie ziemniaków, wszystko rośnie, kwitnie, dojrzewa.

Sprawnie działał system irygacyjny zasilany przez liczne rzeczki płynące do tej największej — Amu-darii. Nawet właściciele przyzgodowych działek nie narzekali na brak wody. Cały teren osady przetrzynano ariki, kanały, do których spływała woda z topniejącego śniegu na zboczach gór. Tadżycy opasują swoje działki spiralnymi bruzdami i gdy chcą wpuścić na nie wodę, wstawiają zapórę w poprzek ariki za swoją ziemią. Woda, nie mając naturalnego ujścia, opływa ich działkę, a gdy już obficie zrosi ziemię, zapórę wyjmują się, woda płynie dalej swym korytem, by zapewnić po drodze wegetację roślinności sąsiadom.

Wodę z ariki czerpaliśmy do celów jadalnych. Nawet w największe upały była świeża, chłodna, podobnie jak ta, która płynie w naszych górskich potokach.

Szybko przyswajałem sobie tadżyckie słowa, zwłaszcza te najważniejsze, do użytku na co dzień. Wkrótce udawało mi się nawet kleić całe zdania.

To otrzaskanie się z tak trudnym do opanowania dla Europejczyka językiem oddawało mi szczególne usługi przy transakcjach handlowych, bo chociaż Tadżycy rozumieli i mówili od biedy po rosyjsku, chętniej szli na ustępstwa, kiedy zwracano się do nich w ich rodzimym języku. A w ogóle to oni i my we wzajemnych kontaktach posługiwaliśmy się swoistym volapükem, przypominającym mowę Kalego z „W pustyni i w puszczy” bez uwzględniania przypadków, czasów, rodzajników...

Największe pole popisania się erudycją miałem na targowisku, centralnym miejscu zakupów. Pojedynczy sprzedawcy przychodzili codziennie, ale dniem poświęconym tradycją targów był piątek. Rynek pokrywał się mrowiem sprzedających i kupujących. Produkty przywozili zarówno pracownicy kolchozów i sowchozów, jak i właściciele działek, na których hodowali różne warzywa, owoce, kurkurdę.

Od samego rana ciągnęły ze wszystkich stron wozów i zaprzęgnięte w konie wozy. Działkowicze przywozili towar na ieszakach, osłach, większych i silniejszych niż nasze. Objuczonego workami osła dosiadał Tadżyk, ponaglając go kluciem patyka w grzbiet i cmokaniem „Chch, cy, cy”, a z tyłu dreptała za nimi mardżion, żona w szarawarach, chalice i pokorze dla swego pana i władcy.

Stragany z brzegu zajmowali sprzedawcy mięsa. Przy jednym Rosjanin oferował wieprzowinę, tuż obok Tadżyk — baraninę. Tadżyk na widok polacji świńskiego mięsa spluwał: „Ciućka, tfu!”, na co Rosjanin odwzajemniał się „Baraszka, tfu!”. Nie było w tym nienawiści, po prostu przekomarzali się jak dzieci.

Dalej był sektor mleczny. W długim rzędzie stałi sprzedawcy kатыku, specjału made in Tadżykistan. Kатыk to gatunek mleka, tak gęsty, że daje się kroić nożem.

Nasi szybko opanowali metodę zajadania się kатыkiem za frajer. Ten i ów podchodził do sprzedawcy i mówił:

— A nu-ka, dawaj apa (przeważnie kobiety zajmowały się sprzedażą) poprobowat.

Apa posłusznie wlewała pół łyżki kатыku na wyciągniętą dłoń potencjalnego nabywcy. Ten kosztował, krzywił się i mówił:

— Kатыk choroszyj, no niemnożko kisty... — i szedł do następnego stoiska. Tutaj stwierdzał, że kатыk jest za słodki, w trzecim — za rzadki, w czwartym — za gęsty i obszerny jak kilkanaście sprzedawczyń był już nasycony i kатыku nie kupował.

Tadżyk za nic miałby klienta, który od razu zapłacił żadaną sumę. A ubijanie interesu odbywało się w następujący sposób:

— Czam pul? (ile to kosztuje?) — pytał reflektant, wskazując upatrzony towar, a gdy sprzedawca podawał cenę, tamten chwytal go za rękę i potrzęsając nią, wymieniał swoją. Tadżyk obniżał, kupujący podwyższał, cały czas ręce wędrowały w górę i na dół, aby wrzucić po kilku minutach tych zapasów dobieć targu.

Na uboczu rozłożył się z koszem pełnym zielonych ogórków stary Ormianin. Ogórki to narodowy przysmak Rosjan, nie brakowało więc klientek. Ale trafita się jedna wyjątkowo grymasna. Przebierała w koszu jak w ulgalkach. Każdy ogórek brała do ręki, obmacywała ze wszystkich stron, odkładala, sięgała po następny. Ormianin flegmatycznie żuł tabakę, przyglądając się spokojnie tym manipulacjom. Wreszcie jego cierpliwość wyczerpała się.

— Ne mnyj, ne mnyj... — wycedził wypluwając tabakę. — Eto ne... bolszyj ne budet...

Razem ze mną przypatrywał się tej scenie sympatyczny rudzielec. Na odzywkę Ormianina zareagował wybuchem śmiechu. Ktoś powiedział, że

nie tak nie zbliża ludzi, jak wspólne poczucie humoru. No i tak poznaliśmy się.

Borys był magazynierem w miejscowej piekarni. Zaprosił mnie do siebie. Poznałem jego żonę (rudą), synka (rudego) nawet leżące w kołysce maleństwo też miało włoski koloru miedzi.

Gospodarz sypał kawałami jak z rękawa, a że i ja znam mnóstwo, nie nudził mi się w swoim towarzystwie.

Za dobre dowcipy Borys rewanżował się półkami chleba. Prostokątne bochenki, cegiełki, przekrawał wzdłuż, żeby za bardzo nie wypychały mojej wewnętrznej kieszeni fufajki. Wystarał mi się o dorywczą pracę w chleborozie „Zagotzierno”, gdzie wydawałem pracownikom tego przedsiębiorstwa chleb na kartki.

Już trzeciego dnia wpadłem z kretelem. Chleb dostarczono prosto z pieca, parujący, a pracownicy odebrali go po kilku godzinach, bo było zabranie. Bochenki zdążyły w tym czasie ostygnąć, straciły na wadze, zabrakło mi kółka kilogramów.

Jak się handlowało w Tadżykistanie

Borys poratował mnie w biedzie, dostał brakujące bochenki i poradził, żebym poszukał sobie innego zajęcia. Pragnie, abym mógł mu nadal opowiadać kawały...

Nie wszyscy Polacy zdecydowali się na stałą pracę. Kilku od przypadku do przypadku rozładowywało wagony ze zbożem, a w wolnych chwilach jeździli do pobliskiego Stalinabadu na jeszcze większy bazar niż w Chanaka. Tam kupowali u demobilizowanych żołnierzy bluzy, spodnie i szyniele, które po poprawkach, wykonywanych przez żony, z odpowiednim profitem sprzedawali na naszym targowisku.

Inni nastawili się na wzorzyste tkaniny jedwabne, rozchwytywane przez Tadżyków szyjących sobie z nich chalaty. Sprzedawali je... w cenie kupna. Nie mogłem tego pojąć: po co wydają na bilety kolejowe, trudzą się, tracą czas, żeby nic z tych transakcji nie mieć?

Tajemnica wyjaśniła się. Kupiony dziesięciometrowy kupon jedwabiu spryciarze składali w jedenaście fald. Tadżycy nie nosili z sobą centymetra. Metr odmierzali przykładając koniec tkaniny do wyciągniętej ręki, a drugi do końca drugiego ramienia. A gdy ten „metr” był kam, kam krótszy, nie przejmowali się tym, płacili i odchodzili zadowoleni. Aż któryś z naszych wpadł i to haniobnie.

Polak polakomil się na jeszcze większy rynek. Kupił kupon trzynastometrowy i złożył go na piętnaście kawałków. Podszedł amator wzorzystego jedwabiu, wielkolud, o łapkach sięgających za

kolana. Ujrzawszy go, handlarz chciał zwinąć interes i uciec, gdzie pieprz rośnie, ale Tadżyk przytrzymał go.

— Czemu twoja? Moja imiejel diengi, smatril. Czam pul? — zapytał o cenę i przyłożył kupon do ramienia: „metr” nie sięgnął mu nawet do połowy klatki piersiowej. — Karab uk. (Złodziej) — rozwściekił się i byłby z pewnością poturbował nieszczęsnego kombinatora, na szczęście ten uciekł się do wybiegu.

— Ponimajesz, aka, odin czelowiok imiejel bolsziju ruku, drugoj korotkoju. Ty poriadocznyj parerul, u tiebia choroszaja, diinnaja ruka.

Udobrachany wielkolud bez szemrania zapłacił za piętnaście metrów i dołożył jeszcze lepszą. Nasi regularnie odwiedzali bazyry piątkowe. Przychodzili całymi rodzinami, z dziećmi. I właśnie widok dzieciarni podsunął mi pomysł. Udzielałem korepetycji synkowi rabinowej we Lwowie. To czemu nie miałbym się zająć edukacją naszych dziewczynek i chłopców, którzy pisać i czytać po polsku nie umieją, a ci co opanowali jako tako tę sztukę w Polsce w powszechnych szkołach, zdążyli już wszystko zapomnieć?

Rodzice byli zachwyceni. Podzieliłem dzieciarnię na dwie grupy: na tych, co nieco liźnęli abecadła i pisowni, oraz tych, co jeszcze nie odróżniali liter. Niektórzy rodzice dobrze zarabiali i nie żal mi było pobierać od nich pieniędzy, natomiast odmówiłem przyjmowania zapłaty od pracujących w ciężkich warunkach w „Zagotzierno”, kombinacie zbożowym. Dźwigali na plecach wory ziarna i za swą pracę, jak mi się żaliłi, licha ich wynagradzano.

Lekcje odbywały się w naszym mieszkaniu lub na wolnym powietrzu. Z braku podręczników uczyłem dzieciaki wierszy, czytały z zapisanych przeze mnie kartek. Po lekcji wyciągnąłem się na łożu (dwa krzyżaki drewniane, deski i siennik). Słuchałem radioteczki, która nadawała pokrzepiającą wiadomość z frontów walk. Ofensywa niemiecka została zatrzymana na przedpolach Moskwy i Rostowa, przeciwnatarcie wojsk radzieckich zadało pierwszą strategiczną klęskę Niemcom, powodując załamanie się Blitzkriegu.

Uchyliły się drzwi. Wszedł ojciec dwojga moich uczniów, tragarz z „Zagotzierno”. Uderzył mnie jego wygląd. Był najwyraźniej opuchnięty, ledwo się poruszał.

— Czy pan jest sam? — popatrzył konspiracyjnie dokoła.

— Tak... A o co chodzi?

Schylił się, odwiązał tasemki w kalesonach — i na podłogę posypała się pszenica. Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia, gdy uczynił to samo z drugą nogawką kalesonów, potem rozwiązał sznur w pasie i spod bluzy sypnęło jeszcze większą porcją ziarna.

— Pan nam pomaga, to i my pomożemy panu. Może pan to sprzedać, albo zmieścić w młynie na mąkę.

Jakoś nie zdobyłem się na odmowę...

Domek Marusi stał na uboczu dwóch głównych ulic. Na skrzyżowaniu znajdował się sklep warzywno-owocowy. Prowadzili go dwaj bracia Bekow, Tadżycy. Jeden był ożeniony z Żydówką z Odessy. Po tej samej stronie, nieco dalej, wykupywaliśmy kartkowy chleb, naprzeciwko mieścił się Finodiel z bankiem, klub, gdzie odbywały się potańcówki, szkoła, po lewej stronie czaichana, pełna zawsze Tadżyków popijających zieloną herbatę. Na prostopadłej ulicy miały swe siedziby: stołówka, Wojenkomat, „Zagotzierno”, Raispolkom, jakby nasza rada narodowa, nieco dalej, gdzie bieleły się wysokie góry bawelny, naturalnego bogactwa Tadżykistanu, rozlokował się Chłopkowy zawód. Bawelna po rosyjsku to chłopok, po tadżycku — pachta. W sięgających kilkunastu metrów wysokości kopcach przekopywano korytarze, żeby białe puch nie zajął się ogniem od promieni słońca. W pobliżu stacji kolejowej funkcjonowała skrzętnie omijana przez nas jednostka milicji, obok był szpital z przychodnią lekarską i — bania, gdzie na zmianę kąpali się mężczyźni i kobiety.

Gdy Polki po raz pierwszy przekroczyły próg łaźni, doszło tam nieomal do paniki. Tadżyckie od okresu pokwitania starannie usuwają sobie zarost z całego ciała, z wyjątkiem głowy. Nawet małutkim dzieckom goli się brwi zastępując je czarnymi kreskami henny. Toteż łatwo można sobie wyobrazić, co się działo w bani na widok naszych kobiet obficie owłosionych w najwstydliwszych miejscach. Młoda mężatka, w ślicznie splecionych warkoczyczkach, chwyciła za rękę jedną z Polek i pokazując na jej łono zawołała z nie tająną zgrozą i ciekawością:

— A kak choziajn smozet tuda-siuda?!

Ja również dokonałem sensacyjnego odkrycia, gdyż przyszła na nas, mężczyzn, kolej wyparzenia się. Jakis Tadżyk, mikroej postury, kurdupel, po biczu parowym polewał się zimną wodą, a to, co dyndało mu u kolana, poraziło mnie.

Siostra naszej gospodyni, Lola, wyszła za Tadżyka. Zyli szczęśliwie, w dostatku. Mąż Loli zajmował eksponowane stanowisko, mieli w Chanaka własny domek, działkę, hodowali barany. Najokazalszy egzemplarz poszedł pod nóż w obejściu Loli. Z okazji baranobicia zaproszono nas na ucztę. Wśród gości byli Uzbeki. Sporo ich osiadło przed wielkami w Chanaka i w innych miejscowościach Tadżykistanu. Mowa Uzbeków brzmiała w naszych uszach identycznie, jak mowa Tadżyków, choć to całkiem inne grupy etniczne i ich języki

się różnią. Znakiem rozpoznawczym były dla nas nakrycia głowy. Tiublatki tadyckie są wielobarwne, uszbeckie mają ozdoby w jednolitym, czarnym kolorze.

Musieliśmy świecić oczyma wśród odświeżone ubranego towarzystwa. Mój strój z obozu rozlał się. Miałem na sobie damskie spodnie bez rozpor-ka, własność Ludmiły. Kapsle z Rybińska, na „re-żimowym chodu” też się wysłużyły, chodziłem w tapoczkach, które moja towarzyszązka życia wiązała z grubych włókien bawełny. Co parę dni musiała sięgać po szydelko, bo jak długo może wytrzy-mać takie obuwie przy wędrówkach?

Stół uginał się pod półmiskami. Jakie wspaniałe delicje przygotowali gospodarze! Kielbasy, pieczo-ne mięso, pilaw. A te owoce? W życiu nie widzia-łem tak soczystych, okazałych persików, brzo-skwiń o popękanej z nadmiaru soku skórce. Roz-plywały się w ustach.

Ludmiła, Masja i Grisza, podobnie jak pozostali goście, jedli powściągliwie, ja pałaszowałem nie-prawdopodobne ilości mięsowa. Jakoż skutki nie dały długo na siebie czekać. Poczułem potworny ból żołądka, wezwano pogotowie. Lekarz, podej-rzując skręt kiszek, polecił odwiedzić mnie do szpitala. Leżąc na noszach, w przejęciu zgarnąłem ze stołu na „zaś” pęto kielbasy. Skończyło się szczęśliwie na przepłukaniu żołądka.

Postanowiłem wreszcie obsprawić się, żeby swym strojem nie wywoływać sensacji, zwłaszcza przy sikaniu, gdy musiałem opuszczać porty i kucac jak dziewczyna. Sprzedałem „Cymę” i złotą obrączkę, aby kupić w Stalinabadzie coś przyzwoitego na grzbiet i nogi.

Na bazarze kupiłem wojskową bluzę i spodnie. Bluzka leżała jak ulał, spodnie były za obszerne. To nic, w Chanaka jest mastierskaja, towarzysz portnoj za kilka rubli przerobi. Gorzej było z na-byciem trzewików. Wreszcie zdecydowałem się na kamazę, pamiętając z pewnością pierwszą wojnę światową.

No dobra. Odziałem się jak elegant z morskiej plany i co dalej? Oszczędności tępniały, a tu zwa-lyli się niespodziewane wydatki. Grisza, który pracował w miejscowym Railspolkomie i w zna-cznej mierze partycypował w wydatkach na wspóln-e gospodarstwo, otrzymał nęcącą propozycję przeniesienia się na wyższe stanowisko w innym rejonie. W dodatku wrócił z frontu mąż Marusi, trzeba było wynająć inne mieszkanie.

Sybirak Soroczkin „wypuścił” nam pokój z ku-chnią i balkonikiem na pięterku. Szczególnie ucie-szył mnie ów balkon. W upalne noce spaliliśmy na wolnym powietrzu, nakrywając głowy gazą dla o-chrony przed komarami.

Na dole rosło kilka drzew owocowych. Dojrze-wał na nich urtuk, owoc pośredni między brzo-skwinia a morelą. Zaraz po sprowadzeniu się Soroczkin ostrzegł.

— Zebyś nie nie zrywał! Co innego jak owoc sam spadnie, wtedy jedz sobie na zdrowie!

Udając się do budki z serduszkami, niby przy-padkowo zaważałem o drzewa, zawsze kilka owo-ców lądowało na ziemi, a okna izby gospodarza wychodziły na drugą stronę.

W czajchanie dopadł mnie jeden z naszych.

— Chce pan pracować ze mną? Zgodziłem się na ziemiomiera, będę mierzył pola kołchozowe, potrzebny mi pomocnik do noszenia tyki.

I tak zostałem skoczbrudą. Robótka nawet ni-czego sobie. Kolchoz wynagradzał nas w naturze: pszenicą, jęczmieniem. Na noc nie wracaliśmy do domu, było za daleko. Spaliliśmy w szopie, worki z zapracowanym ziarnem zawiesziliśmy wysoko na palach dla ochrony przed szcurami. Nie gasiliśmy naftowej lampy.

W czasie mych wędrówek z tyką w rękę po-znałem inżyniera agronoma z Lotwy, nazwiskiem Logg. Zaprosił mnie do swego królestwa, Sadwin-trestu, którym władał. Były to rozległe sady owo-cowe z odmianami jabłek z całego świata. W wy-twórni przetwarzano je na wino. Mogłem jeść, ile chciałem jabłek, ale ani jednego nie wolno było wynieść. Strażnik przy wrotach bacznie patrzył na kieszenie wychodzących.

Często zachodziłem do pana Logga. Opowiadałem mu o Polsce, o swojej pracy przed wojną, o przeżyciach w Rybińsku. Podkarmiał mnie, nigdy nie wypuszczał z pustymi rękoma. To wsunął mi torebkę kukurydzy, to butelkę oleju.

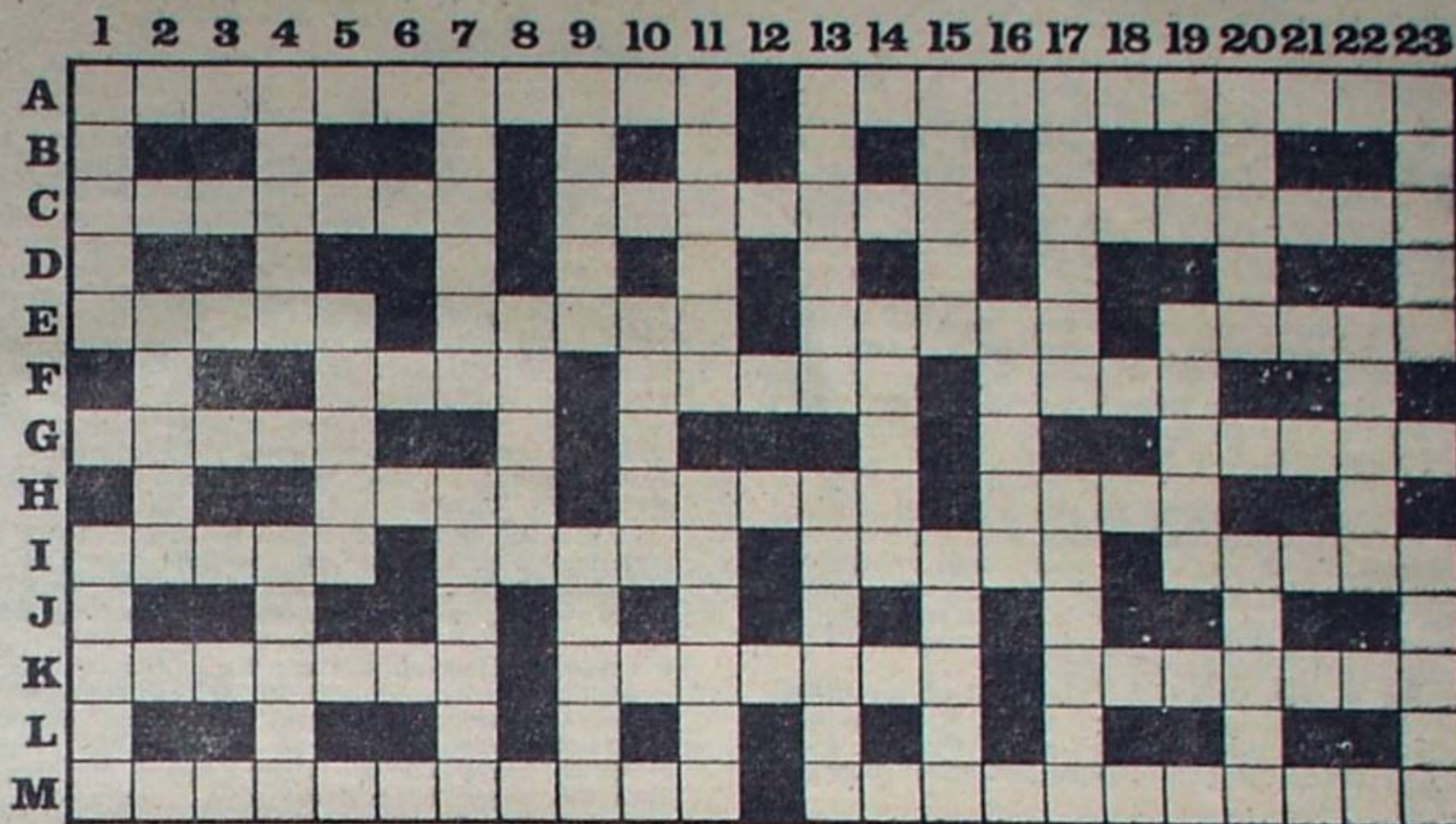
Po obiedzie napiłem się bragi, wina we wstępnej fazie fermentacji. Alkoholu zawiera ono parę procent, ale byłem spragniony, wlałem w siebie dwie szklanki i w drodze do domu film mi się skończył. Ocknąłem się pod wieczór. Do miejsca, gdzie leżałem, zbliżała się młoda Tadżyczka. I jej upał doskwierał, swoją parandżę miała zawieszoną na ramieniu. Ujrzawszy mnie, spłoszyła się i nie chcąc, abym oglądał jej odsłoniętą twarz, na-kryła głowę spódnicą pokazując wszystko, co miała najładniejsze.

Do domu był jeszcze kawałek drogi. W kierunku Chanaka jechała wyladowana workami mąki ciężarówka. Zabrałem się na lebkę, siadając na jed-nym z worków. Na zakręcie zarzuciło, samochód wyrzucił się wyladowałem w rowie pod workami. Cudem nic mi się nie stało, bo ciężarówka oparła się o krawędzie wykopu. Przeleżałem tam chyba dwie godziny, zanim nie nadeszła pomoc. I właśnie wtedy (raz na wozie, raz pod wozem) znalazłem się dosłownie pod wozem...

Na rozstaju dróg czekała zaniepokojona moja przedłużająca się nieobecnością Ludmiła. Była poruszona doniesieniami radiotelegrafisty. Niemcy roz-poczęły blokadę Stalingradu, zdobyli Rostów nad Donem, wdarli się na Kaukaz.

(cdn.)

Krzyżówka nr 20 z szyfrem



Poziomo: A. człowiek zawsze smutny i zaduma-ny • pogląd, że wszystkie zdarzenia są powodo-wane zdarzeniami je poprzedzającymi, C. ciągnik • abstrakcyjne malarstwo niegeometryczne • przepływa przez Ojcowski Park Narodowy, E. miasto w Bułgarii z mauzoleum polskiego króla • kielich • dawna moneta srebrna • górskie owoce, F. sztuczna postawa • katolicki strój obrzędowy • stan w USA, G. wigor, ożywienie • deseczki do unieruchamiania złożonych kończyn, H. korek beczki • element anteny telewizyjnej • otwór w ścianie, I. przeciwieństwo prawdy • zakłada klasztor • niedźwiedzia jama • kudłaty pies, K. pustelnik • miasto nad Ropą pamiętne z I wojny światowej • niechęć, uprzedzenie, M. pracuje w firmie „Jubiler” • słowa swoim brzmieniem kojarzące się z wyrażoną treścią.

Pionowo: 1. pobudka, przyczyna działania • lampa błyskowa, 2. bogini mądrości, 4. laso • taniec pochodzenia brazylijskiego, 5. był nim Wi-netou, 7. okup turecki • symptomy, 8. śnieżna przeszkoda na drodze, 9. republika radziecka • dawny wiejski budzik, 10. jazda w koło, 11. za-groda dla owiec na hali • niepożądany gość, 13. fiaker, dorożka • kółko z łańcucha, 14. szal lub pelerynka futrzana, 15. chmura kurzu lub śniegu • pokrywa, 16. twórca, 17. mełunek • wróżba karciana, 19. rolnik, 20. skrajna bleada • wrzątek, 22. opera Delibes, 23. dzietnica Zamościa, kiedyś podmiejska gmina • największa rzeka Francji.

SZYFR

G21. F6. K9. C3. A6. A15. I15. D17 / C18. J23. A13. H6. K5 / I19. C13. K14. F19. B20 / D7 / M20. D1. E19. A7. C10 / M15. C20. I4. B9. E14. B13. K17 / E17. L20. M1. I4. C19. H10. A2. I9.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redak-cji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród auto-rów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon-ksiązkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18 Z SZYFREM

Poziomo: brakarz, zbójnik, kartusz, Niedzica, apostrof, czar, maron, Pisz, spacja, igelit, ryza, Życie, oko, pęto, Edyp, Nida, uroda, sten, parias, Krywań, klif, tęczec, skat, karabela, ekologia, re-cepta, sadysta, korozja.

Pionowo: Balcer, nektar, narzędnik, Kair, fale, rad, pięta, akt, Ciechocinek, blamaż, ustawa, Jair, clo, żupy, Iganie, Akcent, korepetytor, aut, Izйда, oko, ślad, sito, zygzak, natura.

SZYFR: Nie umiera tylko ten, kto się nie uro-dził.

Walentin Rasputin „W ostatnią godzinę”, przysłowie rosyjskie

Nagrodę wylosował Jan Zych, stacja Kol. Małogoszcz 6/3, 28-366 Małogoszcz.

Archiwum mistrzów anegdoty

W pewnym towarzystwie, w którym obecny był Bernard Shaw, chwalono jego sztuki, na co au-tor z uśmiechem powiedział:

— Nie wszyscy jednak są wa-szego zdania.

— Jak to? — zapytano ze wozy-stkich stron.

— Posłuchajcie więc, co się nie-dawno wydarzyło. Do dyrektora teatru, który od czasu do czasu wystawia jakąś moją sztukę, przy-szedł cieśla teatralny z żądaniem podwyżki. Dyrektor tym zasko-czony, odpowiada: Ależ drogi pa-nie, przecież przez cały wieczór nie ma pan nic do roboty, chyba że coś się tam popsuje, ale to by-wa bardzo rzadko. A zresztą co wieczór słucha też pan sztuki pa-na Shawa. Na to stolarz, utkwiw-szy wzrok w suficie: A właśnie, trochę i z tego powodu wnoszę o podwyżkę.

Poeta niemiecki E. T. Hoffmann zabawiał się pewnego razu w Berlinie u „Lutra i Wegenera” w towarzystwie swego przyjaciela, aktora Ludwika Devrient'a. Nad ranem kelner przedstawił kaide-mu z nich osobny rachunek.

— Co, dziesięć butelek zapisał mi pan?! — zapytał zdumiony Hoffmann. — To jest absolutnie niemożliwe; mój żołądek znosi a-kuratnie tylko dziewięć butelek.

— Dlatego też dziesiąta uderzy-la pana do głowy — odpowie-dział nie zbity z tropu kelner.

— Madame — spytała Sara Bernhard swojej koleżanki — jak się uszmkować na starą kobie-tę?

— Całkiem prosto, madame, wy-starczy tylko lekko zetrzeć pu-der.

W teatrze wiedeńskim wysta-wiano głośną sztukę B. Shawa — „Świętą Joannę”. Niebawem oka-zało się, że z dnia na dzień spa-da frekwencja widzów. Wkrótce też wyjaśniła się tego przyczyna. Mianowicie kurtyna opadała w ostatnim akcie pięć minut po o-dejściu ostatniego tramwaju pod-miejskiego, tak że widzowie mie-szkający poza centrum Wiednia musieli wracać do domu pieszo. Dyrekcja uznała, że należałoby jakąś scenę skrócić, albo też coś w sztuce zmienić. W związku z tym wysłano zapytanie do Shawa: „Co zmienić?”. Na co pisarz od-powiedział: „Rozkład jazdy tram-wajów”.

Pewnego razu ukazała się w „Echo de Paris” omyłkowa wia-domość o śmierci Alfonsa Allai-

sa. W związku z tym Allais wy-stosował do redakcji następujący list: „Czuję się doskonale, upo-ważniam jednak panów do napi-sania po moim zgonie następującej wzmianki: „Zgodnie z tym, co pierwsi podaliśmy przed dwu-dziestoma pięcioma laty (przypusz-czam, że chyba nie wcześniej), Alfons Allais zmarł właśnie w dniu wczorajszym”.

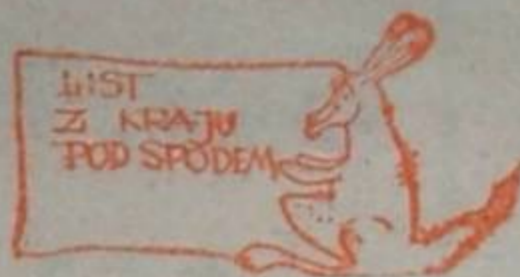
Znany kompozytor Ernest Re-yer był także zapalonym amato-rem gry w bilard. Pewnego dnia zaproszono go na kolację do do-mu jednego z jego wielbicieli. Aby zrobić kompozytorowi przyjem-ność, pan domu zaproponował artystyce partyjkę bilarda, na co chętnie Reyer przystał. W salonie córka państwa domu usiadła do fortepianu i zaczęła śpiewać u-twory Reyera. Śpiewała pięknie i wszyscy byli przekonani, że kom-pozytor będzie ujęty tym dowo-dem holdu. Tym większe wszyst-kich ogarnęło zdumienie, gdy w drzwiach sąsiedniego pokoju uka-zał się kompozytor z kijem bi-lardowym w ręce i wykrzyknął zdenerwowany:

— Niech pani przestanie śpie-wać te paskudztwa, bo zupełnie nie można grać!

Wysperal: Ryszard Dunin

Przodem do kapitalistów

Adam Fiala



PAN Rysiu, zanim przeprowadził się do prywatnego flatu nad Zatoką, wywęszył coś w rodzaju Polonijnego Związku Plastyków. Oficjalnie nosiło to nazwę bardziej nobliwą, ponieważ plastyk w tutejszym języku oznacza nie tyle artystę, co obicie krzesła. Pan Rysiu lubił cytować wypowiedź pewnego urzędnika emigracyjnego: „Plastyk well, przyda się, mamy tutaj dużo w Australii plastyku...” Zapłaciliśmy więc tytułem wpisowego 20 dolarów, kwit mamy do dzisiejszego dnia, żadnego plastyka poza panem Rysiem nie zdążyliśmy zobaczyć, a potem przeprowadziliśmy się do Perth, w Zachodniej Australii, i te 20 dolarów (nie dolców, bo dolce to chyba tylko amerykańskie) diabli wzięli.

Dwadzieścia dolarów, nawet australijskich, to całkiem poważna kwota. Nie chodzi o czarnorynkowe przeliczenia. Za te pieniądze w Australii zrobisz wielką torbę zakupów, za które, jak kto się uprze, można przeżyć i tydzień. I w tej torbie znajdziesz nie tylko suchy chleb czy chrupiące bułeczki, ale szynkę, banany, czekolady i inne takie schabowe.

Ale nie to najważniejsze. Najważniejsze, że organizacja owa ogłosiła konkurs na plakat, upamiętniający zbliżającą się rocznicę 150-lecia stanu Victoria. Świat, czy na górze, czy pod spodem, jest więc w gruncie rzeczy taki sam.

Pan Rysiu przeżywał twórcze męki, chodził z notatnikiem po terenie hostelowym i przymierzał się do słownictwa do wszystkiego: do starej pokrywy od wjazdu kanalizacyjnego z napisem Victoria, do kangura przeskakującego bariery granic, do biało-czerwonego sztandaru, zatkniętego w spaloną australijską ziemię, niby ten amerykański proporzeczek na Księżycu. „Ja wiem, co wygra — tłumaczył — ale ja tego nie zrobię, ja się nie poniżę”. Chodziło oczywiście o czapkę z pawim piórem, polonijnym stereotypem polskości. Czy można sobie wyobrazić stary kraj bez krakowiaka?

Doradzałem panu Rysiu, że mógłby na przykład naszkicować kredkami kangura w czapeczce z pawim piórem albo zrobić po prostu dwa kangury, stojące słupka; jeden w krakowskiej czapeczce, drugi w białej peruce, noszonej od tej pory przez australijskich sędziów (sędzia sądowny, nie piłkarski, jest to bardzo poważny i dobrze płatny zawód, w Polsce chyba raczej odwrotnie).

A jak z tym wszystkim połączyć Victorię? Podniesione uroczyście w górę dwa palce? Ale byłby to plagiat z plagiatu po pewnym mezu stanu, o bardzo dostojnym wyglądzie, nie stroniącym zresztą od dobrego alkoholu i cygara. A dlaczego plagiat z plagiatu? Dziełko na to odpowie, nie tylko pan Rysiu.

Co się stało z tym konkursem i panem Rysiem, nie wiemy, ponieważ opuściliśmy Victorię jeszcze przed celebracją, wyruszając dalej na Zachód. Domyślałem się tylko, że pan Rysiu sobie radzi, może jeszcze jest na zasłuki i obsługuje artystycznie miejscowe polonijne imprezy, żona z pewnością pracuje w knajpie jako kelnerka, i być może nawet podpisali cyrograf na domek z ogródkiem, bo samochód z reguły w Victorii kupuje się niezależnie od banku, to znaczy dwa stare, i jak kto sprytny, to zrobi z tego jeden na chodzie. Pomysł zresztą nienowity, sam widziałem w RFN, jak jeden człowiek z dwóch hond zrobił jedyną. Sztuka by była, gdyby z dwóch hond zrobił mercedesa, i to w dodatku nowego.

Pan Rysiu mi się skarżył, że zawsze, kiedy na pytanie, skąd pochodzi, odpowie „Polard”, wszyscy rozumieją: „Holand”. Latającego Holendra z niego zrobili, być może ze względu na rozwiany włos i błądą, spragnioną australijskiego słońca twarz. Po dwóch miesiącach przyszły jego obrazy i rysunki z RFN (prowadził tam na spółkę z jakimś Polakiem galerijkę), wszystkie szkła w proszku. Ciężki jest żywot plastyka, już lepiej naciągać te fotelowe obicia.

Ale ujawniały się także inne paradoksy. Zdolny mechanik samochodowy po kilku wyścigach z hostelu i „seansach na czarno” powiedział, że właściwie nie opłaca się być mechanikiem samochodowym, że już lepiej stanąć przy taśmie w fabryce czekolady, bo przynajmniej bardziej słodko. Mechanik ten zarabiał przyszłowie kokosy w kraju, zdzierając ostatnie tysiące z poczciwych właścicieli maluchów i syren; urwał się w świat, żeby wyciągnąć jeszcze więcej i przedobrzył. „Miałeś, chamie, złoty róg, ostał ci się jeno sznur”, jakże to aktualne i w dwudziestym, a ludziska gadają, że Wypiański mało uniwersalny i na kraj się tylko nadaje...

Oczywiście, teoretycznie nie jest tak źle, jakby się wydawało; można nostryfikować dyplomy, ale to z reguły trwa, a poza tym dochodzi tak zwany czynnik czasu. Jeżeli jesteś inżynierem dobiegającym czterdziestki, zaś uzyskasz uznanie uprawnień zawodo-

wych no i niezbędną lingwistyczną wiedzę już po czterdziestce, jesteś zbyt stary jak na Australię i twoje szanse zatrudnienia w wybranym zawodzie są znikome. Tyleż, że w Melbourne możesz się jako tako załapać na fabryczną taśmę nie wspominając już o przysłowiowym sprzątaniu, praktykowanym również nagminnie w Europie Zachodniej przez rodaków, co to wyszli z kraju i nie wrócili.

Po kilku miesiącach hostel — to miasteczko, pod blaszanymi dachami, „Silver City” (był taki serial nakręcony w Sydney, w którym brała udział uchodźcza młoda polska aktorka właśnie dlatego, że miała polski akcent) — wszystkim się dokumentnie znudził. Kurs języka przestał być atrakcją, a jedzenie już dawno nią nie było.

Możliwość wyrwania się z hostelu? Albo prywatnie wynajmowany, i to nie za najniższe bynajmniej pieniądze, flat albo tak zwane mieszkanie posthostelowe. Wielu, także i my, tymczasem zapisało się na coś w rodzaju mieszkania kwaterunkowego, otrzymywanego z rządowej Housing Commission. Jest to mieszkanie o niskim czynszu, potrafi być bardzo solidnie wykonane, standardem ogólnymi walorami nie ustępuje przyzwoitemu spółdzielczemu mieszkaniu własnościowemu w kraju. Okres wyczekiwania w stanie Victoria (im więcej masz dzieci, tym lepiej) około dwóch — trzech lat. „Szmata czasu, kto by na to czekał!” — marudzili ludzie, bo do dobrego zawsze się najłatwiej przyzwyczaili. Krążyła plotka, że poza kolejnością dostają Salwadorczycy, była na nich akurat moda, i chyba coś w tym było, bo Salwadorczycy z reguły ponad rok mieszkali w hostelu, przedłużając sobie pobyt poza znormalizowany półroczny czy też ośmiomiesięczny termin.

Najzabawniejsze jednak, że to nie sponsor, ale Siostra Szara chciała nam pomóc w wydostaniu się z hostelu. Któregoś przedpołudnia, kiedy nie padał zimowy deszcz, wsadziła nas w swój automat i powiozła do Housing Commission w dzielnicy portowej. Nie wiedzieliśmy, że kilkumiesięczny okres wyczekiwania był stanowczo zbyt krótki.

Siostra Szara, zakonnica, była dobrym duchem hostelu. Rozdawała dzieciom balony do nadmuchiwania, a dorosłym takie koperty z gotowym znaczkiem, do napisania wewnątrz i zaklejenia. Te aerogramy nazywaliśmy koperciakami, „puste koperty”, bo bez włożonego skrawka papieru. Z takim włożonym papierem koperciak kosztowałby jak normalny list.

Siostra Szara jeździła po mieście niby szatan. Biało-szarawa torpeda z zakonnica w środku; co mogła na to poradzić nawet najsporniejsza policja? Kierowcy, którzy w kraju mieli najwyższe, ciężarowe kateogry, wsiadając do wozu, prowadzonego przez Szarą Siostrę z Melbourne, żegnali się krzyżem świętym, nawet zdecydowani ateści. Miała niesamowite szczęście, a my razem z nią, w tym zatłoczonym samochodami (i starymi tramwajami na dodatek) mieście. Śmiała z jednej dzielnicy do drugiej, tłumacząc i pokazując: „poor people”, a zaraz: „rich people”. Tu biedni, tam bogaci, granice były chyba umowne, zaś do typowej dzielnicy milionerów w Melbourne (nie nad Zatoką, nad Zatoką żyła podobno hołota, rzeźmieszki, narkoman i córę Koryntu) nie dojechaliśmy.

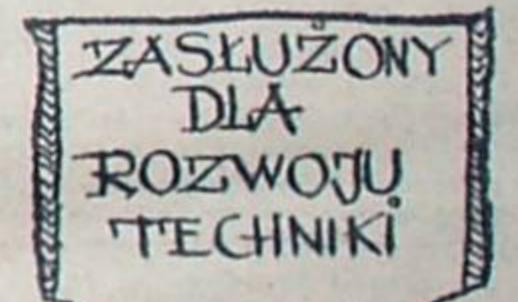
Siostra Szara bardzo chciała, żeby nasz mały chodził do szkoły katolickiej. Szkoła taka, jako prywatna, nie była za darmo, a poza tym większe rygory co do stroju — stan Victoria był najbardziej wiktoriański, ale miało to swoje dobre strony. Bowiem jeżeli miałeś rodzeństwo, chłopca i dziewczynkę, otrzymywałeś dodatkową sypialnię, żeby siostrzyczka nie spała z braciśkiem w jednym pokoju, no i oczywiście nie z rodzicami.

Mały na razie chodził do specjalnej szkoły przy hostelu, nastawionej głównie na poznanie języka angielskiego, towarzystwo miał absolutnie międzynarodowe: Wietnamczycy, Salwadorczycy, no i kilku Polaków, z którymi zresztą dał koty. Odpowiadaliśmy więc Siostrze Szarej, że mały pójdzie do szkoły katolickiej, gdy skończy ten kurs w hostelu.

Któregoś dnia dorwała nas między palmami i kaktusami i powiedziała, że jedzie do fabryki po balony, ktoś jest jej potrzebny, żeby przerzucić paki z tym towarem. Balony były darmowe dla hostelu, fabryka w ten sposób reklamowała swoje wyroby.

Miałem na sobie niemieckie spodnie, z frankfurckiego PCK. Na oko wyglądały całkiem w porządku. Kto mógł przewidzieć, że szwy, że nici będą już całkiem zbutwiałe? Kiedy unosiłem jedną z pak z balonami, spodnie zupełnie otworzyły się z tyłu, jak na filmach z okresu niemej komedii. Z przodu wyglądałem zupełnie dobrze, tak się ustawiłem z paką, żeby zawsze być zwrócony przodem zarówno do Siostry Szarej, jak i przedstawicieli fabryki, kapitalistów.

Medale ufundowane przez Józefa Tarłowskiego



Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasński (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 14-16), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótków.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. F.K.W.N. w Lublinie ul. Unicka 4. Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Janna 4. tel. 294-36.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” oswyżki i literacki 214-26. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresami:

Adres redakcji: 20-020 Lublin ul. Skłodowska 21.

Adres sekretariatu redakcji: sekretariat redakcji 20-020, dział publi. 20-990 Lublin, skrytka pocztowa 221, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.